PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17.
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

W 250-lecie Odsieczy Wiedeńskiej.

Gdy rozpamiętywaliśmy w czasach niewoli wielki czyn Króla Jana III—zawsze mieszała się do naszych rozważań gryząca ironja i gorycz, że oto ci, których stolica i państwo zostało wówczas przez armję polską ocalone w imię najszlachetniejszych pobudek — w niecałe stulecie potem targnęli się zbrodniczą ręką na całość i niepodległość Rzeczypospolitej, niepomni wyświadczonego dobrodziejstwa.

Fakt pozostaje i dotychczas faktem. Jednakże zmianie uległy jego okoliczności i skutki. Oto sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Polska odzyskała niepodległość. Austrja zaś zredukowana do roli małego państewka, przestałabyć terenem eksploatacji narodów słowiańskich przez dynastję Habsburgów. Pozatem tak się złożyły okoliczności, że właśnie w momencie obchodu 250-lecia odsieczy wiedeńskiej, Austrja jest ofiarą barbarzyńskiego zamachu Prus hitlerowskich na jej niezależność, a na czele jej stoi rząd, złożony z działaczy chrześcijańsko-

społecznych, przeciwstawiający się nietylko z pobudek politycznych, lecz także i ideowych obecnemu systemowi rządów, panujących w Niemczech.

Okoliczności więc sprzyjają temu, abyśmy objektywnie, bez goryczy i sarkazmu rozpamiętywali wiekopomny czyn naszego wielkiego hetmana, ozdobionego djademem królewskim.

Odsiecz Wiedeńska jest faktem nie mającym precedensu w historji. Zdarzało się wprawdzie często, że jedno państwo przychodziło drugiemu na pomoc i wprowadzało swoje wojska na jego terytorjum, aby wziąć udział w walce z jego nieprzyjacielem, ale nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś obronił stolicę sąsiada, wygrywając pod jej murami decydującą bitwę, która za jednym zamachem rozstrzygnęła los całej kampanji, likwidując niebezpieczeństwo, grożące nietylko danemu państwu, lecz całej wschodniej i środkowej Europie. Dlatego czyn Narodu Polskiego i Jego Króla należy do tych, które zawsze będą jaśnieć na firmamencie dziejów swoim oryginalnym blaskiem, tak jak jaśnieje konstelacja gwiazd niebieskich, nazwana imieniem Sobieskiego.

Badania naukowe ustaliły w najważniejszych punktach całokształt wydarzenie. Wiemy więc, że zgromadzenie armji polskiej i sam marsz jej pod Wiedeń jest w historji wojen ówczesnych przykładem niezwykłej sprawności, szybkości i energji, że Rzeczpospolita, wystawiając armję tak znaczną, zdobyła się na wielkie ofiary pieniężne, z których zaledwie $^{1}/_{10}$ część pokryta została przez subsydja cesarskie, że dowódcą całej armji chrześcijańskiej, twórcą planu bitwy i jej faktycznym kierownikiem był Jan Sobieski, że wojska polskie zajmowały najtrudniejsze pozycje armji chrześcijańskiej, a gigantyczne uderzenie naszej husarji, która wjechała w sam środek obozu nieprzyjacielskiego, rozstrzygnęło los bitwy.

Pozostaje do omówienia zagadnienie rozpatrywane szeroko przez historyków 19 stulecia, mn., czy odsiecz wiedeńska z punktu widzenia politycznego nie była błędem, czy nie należało Austrję, która w sto lat potem targnęła się na niepod-

ległość Rzeczypospolitej — pozostawić jej własnemu losowi i spokojnie przyglądać się, jak kraj ten będzie jęczał pod jarzmem tureckim. Pogląd taki pojawił się już wówczas 250 lat temu, a reprezentowali go ministrowie Ludwika XIV, którzy doradzali Polsce zerwanie sojuszu z Austrją i gotowi byli pośredniczyć w nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Turcją. Zarówno w życiu jednostek, jak i narodów zdarzają się chwile przełomowe, w których trzeba powziąć szybko decyzję, nie znając oczywiście przyszłości. Swinks dziejów uśmiecha się wówczas tajemniczo do wybrańców losu, dzierżących w swoich rękach brzemienną w skutki decyzję i zadaje im dziwne pytania, na które często trudno odpowiedzieć. Niejednokrotnie decyduje wówczas instynkt narodów i ich kierowników. Gdy rozum nie może odpowiedzieć na wszystkie pytania — instynkt i uczucie odgrywają najważniejszą rolę. Chodzi tylko o to, aby to był instynkt zdrowy, zgodny z prawem naturalnem i moralnością chrześcijańską. Mamy głębokie przeświadczenie, że taki właśnie instynkt poprowadził Sobieskiego i rycerstwo polskie pod Wiedeń.

Aby więc sąd nasz był objektywny i opierał się na wszystkich składnikach rozumowania, musimy przedewszystkiem stwierdzić, że w r. 1683 nietylko Austrji lecz także i Polsce groziło tureckie niebezpieczeństwo. Po zdobyciu Wiednia armja turecka pomaszerowałaby na Kraków. Nie można zapominać, że na kilkanaście lat przed Wiedniem Polsce został narzucony haniebny traktat buczacki, który wprawdzie zmazało wspaniałe zwycięstwo pod Chocimem w r. 1673, lecz mimo to Kamieniec Podolski, będący bramą wypadową do Polski nie został jeszcze odebrany. Dopiero zwycięstwo wiedeńskie stworzyło podstawy do jego odzyskania w późniejszym traktacie pokojowym.

Sobieski więc pod Wiedniem, bronił nie tylko Austrji, lecz także i Polski. Wprawdzie my z perspektywy ćwierć tysiąclecia moglibyśmy teoretycznie rozumować, że gdyby Austrja pozostawiona samej sobie wdała się w długą walkę z potęgą tu-

recką, to w następnych dziesiątkach lat osłabiona byłaby potęga cesarza i z mniejszą energją zwróciłaby się w dobie rozbiorów przeciwko Polsce. Polska zaś uwikłana w niebezpieczną wojnę z Turcją na własnym już terytorjum zdobyłaby się może w ogniu walki na reformę swojej armji i administracji i nie byłoby może w dziejach naszych tego fatalnego okresu kilkudziesięciolecia pokoju czasów saskich, podczas którego czołowe warstwy narodu oddawały się nikczemnemu „dolce far niente", zatracając wszelkie wartości narodowe i państwowe, tak, że reforma Konarskiego, Staszyca, Kołłątaja, Ignacego Potockiego i innych przyszła już zapóźno, aby ocalić Państwo Polskie i zdołała ocalić tylko Naród Polski. Trudno jednak brać za złe ówczesnemu pokoleniu i jego wielkiemu przywódcy, że nie zdobyli się na tego rodzaju rozumowanie, które dziś może być brane pod uwagę tylko abstrakcyjnie i to jeszcze pod wielkim znakiem zapytania.

Oni widzieli i czuli bezpośrednio niebezpieczeństwo tureckie, grożące całej Europie, w ich słusznym przekonaniu gorzała cała południowa ściana Rzeczypospolitej, której musieli bronić. Najważniejszą pobudką ich działania był instynkt samozachowawczy. Z tem się łączyły ściśle i integralnie inne— najszlachetniejsze pobudki. Jako przedstawiciele Narodu katolickiego, wzrastającego w dużej mierze w promieniach kultury zachodnio-europejskiej, bronili oni wiary Chrystusowej przed zachłannym pochodem Islamu, któremu przyświecały nie tylko cele polityczne, lecz w pierwszym rzędzie religijne, oparte na fanatycznym dążeniu do ugruntowania wszędzie religji muzułmańskiej. Gdyby pod Wiedniem Turcy zwyciężyli, runęłyby krzyże w kościołach wiedeńskich, a na ich miejsce zapanowałby niepodzielnie półksiężyc, miljony ludzi zostałoby zmuszonych do wyrzeczenia się wiary Chrystusowej, ciężka stopa azjatyckiego najazdu zaciążyłaby nad całą Europą środkową, cywilizacji zachodnio-europejskiej zadanyby został potężny cios.

W tak decydującej chwili nie zawahał się Naród, któremu słusznie przyznano tytuł: przedmurza chrześcijaństwa. Nie za-

wiódł go zdrowy instynkt i potężne uczucia religijne i patrjotyczne, drzemiące w duszach jego synów. I zmaterjalizowały się w potężnym, bohaterskim czynie, który pozostanie zawsze jednym z najwspanialszych wzlotów w dziejach ludzkości. O ile na kilka lat przed Wiedniem opinja Polski była rozdwojona i myśleli jedni o sojuszu z Austrją a drudzy o trwałym związaniu się z polityką Ludwika XIV—o tyle w r. 1683—z małemi wyjątkami, które się nie liczą—była tylko jedna opinja w Polsce: Rzeczpospolita Polska musi pójść tam, gdzie zagrożone są szańce Chrześcijaństwa...

Po 250 latach, rozpatrując wielki czyn naszych przodków, pochylmy przed nimi czoła i uczujmy słuszną dumę, że społeczeństwo polskie, aczkolwiek już zdemoralizowane pod koniec w. XVIII-go, zdobyło się jednakowoż na wielki gest, godny rycerzy chrześcijaństwa, zdobywając sobie przez to zasługę przed Panem Nieba i ziemi. Kto wie, może ta zasługa zdobyta przez naszych przodków pod Wiedniem, zważona na szalach nadprzyrodzonej sprawiedliwości Bożej — sprawiła, że Bóg pozwolił Narodowi naszemu odrodzić się wewnętrznie i odzyskać utraconą wolność i niepodległość. *Stefan Kaczorowski.*

Cześć Najświętszych Serc Jezusa i Marji.

W Świętym Roku w wyniku modlitw i rozważań czerwcowych, — miesiąca Najświętszego i Najsłodszego Serca Jezusowego, — każdy musiał głębiej wejść w tok naszego życia doczesnego w tok naszych dziejów.

Szczególnemi myślami i pragnieniami, wnikliwą wędrówką do Boga Stwórcy i Zbawcy musiało poruszyć wspomnienie Serca Jezusowego płonącego na drzewie krzyża miłością do ludzi, — ofiarną miłością przed tysiącem dziewięciuset laty.

Przez te prawie dwa tysiąclecia, jaką wędrówkę do Tego Serca odbyła ludzkość i jakim dalej pójdzie szlakiem. Jak pomocy ma wzywać w swoich załamaniach i upadkach, — jakiego ratunku wyglądać.

Polityka państwowa i społeczna, — polityka kulturalna i obyczajowa, — nawet wtedy, kiedy idzie szlakiem chrześcijańskim jest zabiegiem ludzkim, doczesnym, jeżeli nie szuka pomocy zwyż, — jeśli nie dostroi uczucia, myśli i czynu do tego wzywania, które płynie pod z krzyża.—Lecz ją tylko przeważnie widzimy, — o niej wiemy. — Ludzkość w kierownictwie swoim i w myślach swoich dziwnie uporczywie swoich własnych doczesnych i przyziemnych trzyma się metod. Stąd widok tragiczny, czasem rozpaczny, — najczęściej żałosny.

Sięgnąć przed tron Boga, wniknąć w nieogarnione,—dojść ścieżką mozolną, — przestrzeń to nazbyt wielka i nazbyt przepastna. — Z nicości ku bezwględnej absolutnej doskonałości,— ażeby módz oglądać Boga twarzą w twarz.

A jednak jest łańcuch nawiązany przez Zbawcę, przez miljony serc świętobliwych i świętych siłą łaski pociągający, nieskończony różaniec, — przez który idą dusze jednostek, lecz jakże rzadko narody, — jak słabo ludzkość cała, — nawet ta co jest w Kościele, — Mistycznem Ciele Jego — Boga Odkupiciela.

W różańcu serc Serca dwa, — nierozerwalnie złączone dla zbawienia rodu ludzkiego, — przez nie jedynie droga. — I one wiodły i wiodą nawet wtedy, kiedy tego nie widzimy naszemi ludzkiemi oczyma, — przyzwyczajonemi ciasny krąg zataczać wokoło siebie.

Przez nie szturm do Nieba
Przez nie ratunku wzywanie
Przez nie zbawienie.

Owite wieńcem cierniowym tak, jak ta Najdroższa i Najpiękniejsza Głowa, — bolesne, Serce Boga — Zbawcy płonęło na drzewie krzyża. — Wtedy to przed tysiącem dziewięciuset laty to serce miłujące i serce ofiarne zranione zostało włócznią Longina, która przeszyła wskroś Najświętsze Boskie Piersi sięgając do Najświętszego Serca, ażeby w cierpieniu śmiertelnem, które przeszedł Bóg-Człowiek otworzyć je dla nas.

A u stóp tego to krzyża płonęło inne Cierpiące Serce przeszyte mieczami boleści Serce Matczyne, — Serce Bogarodzicy.

Może w tej strasznej, — bezgranicznie bolesnej chwili te serca najbardziej się ze sobą zespoliły, — dla zbawienia ludzkości, w przeogromnej miłości, dla nieszczęsnego grzesznego rodu ludzkiego.

Może ta właśnie chwila uczyniła niemożliwe, — wykonalnem, nieogarnione — wnikliwem, bezbrzeżne — dostępnem,— zbliżyła krańce nieskończonej odległości.

I oto ten przedziwny okres, — spokojny, — radosny, — promienny: — daje pełnię słodyczy Najświętszego Serca Jezusowego. — Okres jedyny w swoim rodzaju, — okres pomiędzy Zmartwychwstaniem, — a Wniebowstąpieniem Boga Zbawcy.

Duch Swięty poprowadził ich do pracy apostołów, zawiązek społeczności chrześcijańskiej, na mozoł i trud dorobku.

Kiedy społeczność chrześcijańska przeszła pierwszy swój okres, okres początkowy, okres świadectwa męczeńskiego, — a więc bohaterski, wtedy znalazła się wobec zadań, kto wie czy nie jeszcze trudniejszych. — Musiała wchłonąć tłumy barbarzyńskie, rasy pierwotne o instyktach żywiołowych z ziemi wyrosłych i do ziemi przywiązanych, — choć pełnych bujnego temperamentu.

To wchłonienie, — ta asymilacja w porządku ludzkim obaliła wielkie Imperjum Rzymskie, rozsadziła Zachód i zamurowała Wschód, przywaliła go głazem grobowym skostnienia.

Ale w porządku boskim, — w Kościele Boga Zbawcy, w mistycznem ciele Chrystusa wzniosła nową budowę społeczeństw chrześcijańskich,—chrześcijańskich państw i narodów.

Cokolwiek zaczerpnęliśmy z praw dawnych z Imperjum Rzymskiego, — z Rzymskiej budowy, — cokolwiek jest z tradycji cywilizacji Helleńsko-Rzymskiej, — wszystko to jest przerobione, zbudowane, — wzniesone przez Kościół, — jedyny Kościół, — Kościół Rzymsko-Katolicki.

W tym Kościele tętni, — tej społeczności Chrystusowej żywotne soki daje, — Jedyne Serce — Najsłodsze i Najświętsze Serce Jezusowe.

Całe średniowiecze, — ten wielki okres chłonny, asymilacyjny, — wychowawczy chrześcijaństwa i Kościoła, — był okresem zmagań się natury ludzkiej w sobie, chwiejących się i załamujących pod naporem psychicznych podkładów barbarzyńskich, — pod naporem skażonej grzechem pierworodnym istoty człowieka. — Była to burza pomiędzy krańcami.

Tym czasom i naturze tej nie brakło ognia zapału, — uniesień, — porywów wichrowych, — raczej posiadały one ich wrzący nadmiar. — Serca tych czasów nie grzeszyły oschłością, — grzeszyły one namiętnością, nadmiarem gwałtownego nieuporządkowanego, — nie ujętego w karby uczucia.

Rwały się do wyżyn krzyża, padając często w otchłanie,— ale się rwały i poryw ten był prawdziwy, głęboki i wielki.

W porywie wzwyż do szczytu Krzyża, — do Boskiego Serca Zbawiciela, — kogoś mogły znaleść po drodze, — czyjegoś pośrednictwa i czyjej pomocy wzywać? — Jakież to serce gorzało na Kalwaryjskiej wyżynie u stóp tegoż Krzyża, — Kto ich mógł dźwignąć i unieść na te wyżyny? — Czyjeż to, czyje mogło być serce pośredniczące?

Serce Matczyne, — Serce Bogarodzicy, — Matki Zbawienia, — Matki Boga i ludzi.

Dusze owoczesne były młodzieńcze, — nie nietylko młodzieńcze,—często wprost dziecinne, — pełne dziecięcych, naiwnych odruchów, — wymagały też matczynej opieki, — serca i ręki matczynej, — matczynego pośrednictwa wobec zagniewanego Ojca, — wobec Boga Sprawiedliwego, którego gniewu często się bały. — Wymagały matczynego pośrednictwa do dźwignięcia się wzwyż.

Natura owych czasów, jak natura dziecka w zetknięciu z życiem, — oraz w bezpośrednim stosunku do Ojca jest trwożliwą (czasem zresztą może być buntowniczą). — Ojciec jest czynnikiem niedosięgłym, pełnym autorytetu, — ale zara-

zem z trudnością zrozumiałym. Tak jak w mozajkach bizantyjskich i wczesno chrześcijańskich. Ojciec jest sędzią sprawiedliwym, — a surowym. — Natura ta wymaga Matki i do Matki się garnie, — przez Matkę tylko zrozumie Ojca, w Niej szuka ucieczki i pomocy, — pośrednictwa, orędownictwa. — Ona prowadzi do Syna i łagodzi sprawiedliwą surowość Ojca.

Kult Bogarodzicy ratował i podnosił owe czasy, — kult ten dokonywał cudownych przemian. — Kult Maryi, — pośrednictwo Niepokalanej Matki Boga dokonywało cudów nawróceń.

Gwiazda Zaranna prowadziła ich.

Gwiazda Morza gładziła wzburzone fale namiętności.

Ale stała się rzecz straszna. — Na przełomie wieków duch szatański poprowadził atak tych namiętności, właśnie rzecz uderzająca przedewszystkiem na kult Bogarodzicy. Bunt religijny XVI-go wieku był przedewszystkiem przeciwko Matce, — przeciwko Matce Kościołowi i przeciwko Matce Bożej.

Wprawdzie skutkiem tego odrodzenia katolickiego,--wśród narodów katolickich, jeszcze bardziej ożywiło się i pogłębiło kult Bogarodzicy, — i cały wiek XVII posiadał pełny jego blask.— Szczególniej u nas w narodzie polskim kwitnął on w pełni,— choć przecie i u nas znalazł on w jednym momencie pewne załamanie, — na początku tegoż nieszczęsnego wieku XVI-go. Jednak trucizna sączyła się przedewszystkiem wysysając serca ludzkie.

A przecie Matka Boża prowadziła nas do Serca Syna Swego, — do Najświętszego Serca Jezusowego

A ludzkość na tej drodze sprzeniewierzyła się przewodniczce swojej.

Na przełomie wieków XVII i XVIII szczególniej w tym ostatnim oraz w następnym XIX, ludzkość znalazła się w osobliwym i tragicznym zarazem stanie. Serca pod wpływem pychy i oddalenia od Boga, pod wpływem stałego sprzeniewierzania się religji wyziębły, a namiętności pierwotne, burz-

liwe i młodzieńcze wprawdzie zcichły, —ale przekształciły się na gorsze, zjawiły się namiętności pochodne, wtórne, połączone z wyrachowaniem, bez porywów odruchowych stały się przewrotne i w przewrotności swej aż okrutne.

Czy to będą okrucieństwa terrorystyczne t. zw. Wielkiej Rewolucji dokonywane przez tłumy pod przewodem demagogów, a przygotowywane na zimno z wyrachowaniem; — czyto będą okrucieństwa dyplomatów przebiegłych i pysznych kierowników naw państwowych, dokonywujących grabieżczych rozbiorów żywego narodu; czyto będą okrucieństwa narastającej plutokracji przemysłowej nowego kapitalistycznego ustroju, — zabójczo wyzyskującej nawet dzieci nieletnie w swoich warsztatach; — zawsze to będą okrucieństwa wykalkulowane, obrachowane w swej bezlitosnej oschłości. Tu namiętność, o ile zaślepia człowieka, wynika jako siła, pochodna od przewrotnego zamiaru i przewrotnego wyrachowania. Nie jest to namiętność wieków średnich, kiedy ona była siłą pierwotną, spontaniczną, odruchem gorących natur i serc gorących.

Zaiste, sądzę, że Bóg będzie miał większą litość dla największych zbrodniarzy średniowiecza, onych rzekomo ciemnych wieków, tak jak ją okazał dla żałującej Marji z Magdali i dla strwożonej niewiasty cudzołóżnej, aniżeli dla spokojnych i zrównoważonych wyzyskiwaczy bliźnich, bezlitosnych wyzyskiwaczy materjalnych i moralnych doby najnowszej, — „doby oświecenia".

Teraz dopiero w rozkwitającym materjalistycznym świecie, w doczesnem i piekielnem królestwie Mammona, w świecie tych krańców przepychu nadużycia i nędzy ogromnej w całej pełni ujawniła się groza oschłości serc. Czemże były namiętności i grzechy buchające z płonącego serca,—wobec tych namiętności i grzechów sączących się gnilną posoką z serca oschłego.

Nastał czas ludzi ni zimnych i ni gorących a bezlitosnych w spokoju swego egoizmu, swego egotyzmu, — swego

bezbożnictwa,--czas dusz zatraconych, w których nawet iskierka nie tlała miłości.

I rzecz znamienna, właśnie u progu tych czasów — nie kiedy indziej, ale w tym momencie u schyłku XVII wieku (1673—1674—1675) Zbawiciel, Bóg Miłości, objawił skromnej zakonnicy świętej Marji Małgorzacie, objawił potrzebę czci miłującego Najświętszego i Najsłodszego Serca Swego. — To cudowne i błogosławione wezwanie, — wezwanie ratownicze, opornie jednak przesiąkało do serc ludzkich owych czasów, nieszczęśnie zasklepionych w pysze i egoizmie swoim.

Do następnych to stuleci stosują się słowa naszego wielkiego wieszcza i myśliciela Zygmunta Krasińskiego:

„Słabościom, w których tlała iskra miłości, przebaczyłeś Panie. Ale pychom ducha, ale uciskającym biednych, ale przechwalającym się w dumie i nieużyteczności serca, ale kłamiącym przed ludźmi, by uwieść ludzi, nie mogłeś przebaczyć. Tam, gdzie nie było miłości jedno podłość była i złocone fałsze, sądziłeś i potępiałeś. Kupców frymarczących w świątyni, wygnałeś z niej; w obliczu Faryzeuszów iskrzyły się boskie oczy Twoje i gniew nieśmiertelny wchodził na czoło Twoje". (Z. Krasiński — Myśli pobożne).

Okrutne wyuzdanie dwu stuleci, — doprowadza do dnia sądu i dnia karania. Świat współczesny ginie.—„Kryzys, załamanie — ratunku!" — Wołają przywódcy i narody. I skąd ratunku wyglądać. Gdzie się zwrócić, jak znaleść drogę do Boga, — który się skrył poza chmur oponą i poza grzmotami góry Synai,—jak znaleść ratunek nam tańczącym wokało bezdusznej martwej bryły złotego cielca. Zapomnieliśmy drogi, ktorą nas wiodły ręce Matczyne i Serce Matczyne.

Serca, — serca potrzeba, — jedynego serca świata, Boskiego Serca płonącego na drzewie krzyża, ażeby rozpaliło wystygłe serca nasze, — ażeby dźwignęło na swoje wyżyny.

Przez pośredniczące Serce Matki, — do Serca Syna, — Najświętszego, Najsłodszego Serca Jezusowego,—to jedno mo-

że przebłagać słuszny i sprawiedliwy gniew Boży—to jedno może uratować jednostki, rodziny, narody i ludzkość.

Przeogromna, nieprzebrana skarbnica miłości, — miłości ponad świat i ponad wszystko da nam to, co zamarło w duszach naszych, roznieci iskry, które już wygasły, — ożywi serca nasze, — powróci nas na ścieżkę, którą przez wieki wiodła nas Niepokalana Orędowniczka nasza Dziewica Matka Boga, — powiedzie ścieżką do stóp tronu Bożego.

I to ma być dzieło nie tylko jednostkowe, ale zbiorowe, nie tylko rodzinne, ale społeczne, — narodowe, w tem znaczeniu, że całe narody winny się poświęcić przez Serce Bogarodzicy Najświętszemu Sercu Jezusowemu.

„Najświętsze Serce Jezusowe, przyjdź Królestwo Twoje".

Rzecz znamienna, najżarliwszy apostoł intronizacji Najświętszego Serca Jezusowego O. Mateo, jest zakonnikiem Zakonu Serc Marji i Jezusa.

Dwa te bowiem najświętsze i najsłodsze Serca nierozerwalnie złączyły się, — zespoliły dla ratunku ludzkości.

W Roku Świętym w tysiąc dziewięćsetnym roku Męki Pańskiej ludzkość winna okupić ofiarę kalwaryjską, — szczególną czcią i miłością tych serc bolesnych, serc bezgranicznie miłujących, serc płonących ongi na tej górze, — a dziś płonących dla nas, — dla porwania nas do Boga we wszystkich świątyniach naszych, — na całym okręgu ziemi.

Intronizacja Najświętszego Serca Jezusowego—społeczne dzieło poświęcenia rodzin, narodów, ludzkości całej Najsłodszemu Sercu Boga-Odkupiciela, — odnawia wszystkich, — odnawia ludzkość, —ratując ją od tej przepaści, w którą już się stacza z zawrotną szybkością.

Jedno jest jeszcze bowiem.—Oto wiek nasz, wiek, w którym tyle się mówi, tyle pisze, tyle pracuje dla spraw społecznych, — w jednej i to w najważniejszej dziedzinie jest aspołecznym, — w dziedzinie religji.

Nawet świat katolicki, nie mówiąc już o skażeniach protestanckich, — religijność swoją w odróżnieniu od wieków dawnych ze społecznej przekształcił na indywidualną, osobistą.—

Nie brak nam jednostek religijnych, całych tłumów takich jednostek.—Takiemi jednostkami zapełniają się, dzięki Bogu, coraz liczniej kościoły nasze. — Ale choćby ich liczyć na miljony, — wobec czasów dawnych wieków minionych to są jednostki. — Zwątliliśmy, a nawet zatraciliśmy pierwiastek społeczny w naszem życiu religijnem.

Ongi nie tylko życie jednostek i pojedyńczych rodzin zespolonych w parafjach, — ale całych warstw, społeczeństw i narodów, było jednem wielkiem życiem religijnem, — dziś nawet wtedy, kiedy się modli w tłumie zapełniającym kościół,— nawet wtedy, kiedy się idzie w procesji przeważnie samemu spala się w modlitwie, samemu staje się wobec Boga.—Usty powtarzamy „Ojcze nasz",—ale z głębin serc najczęściej „Ojcze mój" płynie.

Stąd godzimy się z taką łatwością, że w dziewięciu dziesiątych, życie nasze publiczne, zbiorowe, narodowe jest pozbawione aktu religijnego.

Bo i czegoż można było się spodziewać skorośmy odeszli od Serca Bożego i skażeni zostali oschłością serca indywidualnego, małego, kurczącego się bez pomocy miłości Bożej serca ludzkiego.

O Najświętsze Najsłodsze Serce Jezusowe, ratuj nas! — Przed nami samemi, przed naszą małością i przyziemnością, ratuj nas!

Naród polski tak niedawno za wstawiennictwem Królowej Korony swojej Boga rodzicy, — mocą przedziwnej Łaski Bożej wyzwolony, — nie może pójść inną drogą tylko prosto przez Serce Marji do Serca Jezusowego.

W miesiącach najbliższych,—w toku czasów najbliższych musi się każda polka i każdy polak, każda rodzina polska, — cały naród polski poświęcić się Najsłodszemu Sercu Boga Zbawcy.

Wszyscy muszą wprowadzić Intronizację Najświętszego Serca Jezusowego, — a odnowienie nasze w Bogu, — będzie dziełem dokonanem.

O Boskie Serce Jezusa błogosław Ojczyźnie naszej.

L. Czerniewski.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Studjum o szkołach jezuickich w Polsce.

Ks Stanisław Bednarski T. J.: Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce. Studjum z dziejów kultury i szkolnictwa polskiego. Kraków 1933. Wydawnictwo Księży Jezuitów. Str. 538, 9 tablic statystycznych, 1 mapa.

Rehabilitacja polskiego siedemnastowiecza szybko postępuje naprzód. Badania nad kulturą polską doby baroku coraz to nowe rzucają światło na ten doniedawna tak okrzyczany okres „ciemnoty". Cały szereg monografij i szkiców drukowanych odsłonił nam życie polskie w w. XVII i na przełomie w. XVIII, życia tego odrębność i wielobarwność. Sporo zaś prac, bardzo ciekawych, leży dotąd w rękopisie, czekając lepszych dla nauki czasów, by ujrzeć światło dzienne.

Świeżo ukazała się publikacja jezuity Ks. Stan. Bednarskiego o szkołach jezuickich w Polsce, ich upadku i odrodzeniu. Pod kierunkiem wybitnego znawcy dziejów szkolnictwa polskiego, prof. Kota, zbierał autor przez długie lata obfite materjały, by obdarzyć nas tak zewszechstron ciekawem studjum. Sine ira et studio zabierał się do tej pracy, zdawając sobie przytem dobrze sprawę z tego, jak pewne sfery przyjmą pracę jezuity o jezuitach. I podkreślić należy, że Ks. Bednarski z całą otwartością nazywa białe białem a czarne czarnem, trzymając się zdala od wszelkiej przesady. Z drugiej zaś strony odważnie, z dokumentami w ręce, odpiera różne zarzuty, niesłusznie czynione jezuitom w XVII i XVIII wieku.

Po słowie wstępnem daje autor przegląd źródeł, z których czerpał oraz podaje kilka wskazówek o stosowanej przez siebie metodzie opracowania. Następnie kreśli w ogólnych rysach obraz szkolnictwa jezuickiego w Polsce w w. XVII oraz podaje przyczyny upadku tych szkół po szybkim ich rozroście. Akcentuje przedewszystkiem to—o czem dotąd milczano—, że

jezuici sami byli świadomi tego upadku i usilne czynili starania w kierunku naprawy i przełamania bezwładności, jak do naprawy szkół służył rozwój samego zakonu w pierwszej połowie wieku XVIII. Rozwinęła się szeroka dyskusja nie tylko w ramach zakonu, ale i na forum publicznem, dyskusja żywo przypominająca dzisiejszą wymianę zdań na temat obecnych zmian ustroju szkolnictwa. Zwłaszcza „Zabawy przyjemne i pożyteczne" oraz „Monitor" często poruszały temat reformy szkolnictwa.

Szeroko rezwodzi się autor nad programem naukowym szkół jezuickich, poświęcając sporo miejsca poszczególnym przedmiotom: a więc: jezykom łacińskiemu, greckiemu, polskiemu oraz nowożytnym, dalej wymowie, historji, geografji, matematyce, fizyce oraz filozofji. Nadzwyczaj ciekawe są rozdziały traktujące o wychowaniu religijno-moralnem i obywatelskiem młodzieży w szkołach jezuickich oraz o konwiktach i kolegjach szlacheckich.

Niemniej ciekawe są wiadomości o studjach zagranicznych i o współudziale cudzoziemców w organizacji szkolnictwa jezuickiego w Polsce. Sporo znajdujemy tu przyczynków do kontaktu Polski z zachodem na przełomie w. XVII i XVIII, a zwłaszcza w w. XVIII.

W „Dodatkach" dał nam autor szereg dokumentów i informacyj źródłowych, jednak tylko z w. XVIII. Mamy więc obok spisu prelekcyj, wykaz jezuitów polskich przebywających zagranicą na studjach po roku 1740 oraz wykaz jezuitów francuskich w Polsce. Dalej mamy obraz zwyczajów i obyczajów szkolnych w prowincjach jezuickich polskiej i litewskiej, jedno opracowanie lekcji wzorowej i spis profesorów filozofji z lat 1750-1774. Całość zamyka zestawienie źródeł, z których autor czerpał. Dla ułatwienia orjentacji umieszczono na końcu spisy tablic, rycin, osób i miejscowości.

Studjum Ks. Bednarskiego, bogato ilustrowane, dzięki swej gruntowności i sumienności zasługuje zewszechm ar na obszerniejsze omówienie jak i na jaknajwiększe rozpowszechnienie.

Przynosi ono dużo rzeczy nowych, dotąd nieznanych, daje szereg ciekawych wniosków i syntez. Z ustępów najciekawszych, rzucających nowe światło na pewne zagadnienia, wymienić należy m. i. rozdział o roli języka polskiego w polskich szkołach jezuickich. Rozprawia się tam autor z twierdzeniem prof. Chrzanowskiego, jakoby jezuici w swoich szkołach pielęgnowali jedynie łacinę, każąc uczniom wykuwać niezrozumiałe frazesy i formułki łacińskie z ignorowaniem języka ojczystego. Autor wykazuje, że nie kto inny, jak właśnie jezuici pierwsi zaprowadzili w swoich szkołach naukę języka polskiego, pierwsi nauczali gramatyki polskiej. Zwraca Ks. Bednarski uwagę m. i. na Ks. Bohomolca, jezuitę, i jego zaszczytną rolę około krzewienia języka ojczystego.

Do słabszych ustępów w dziele Ks. B. zaliczałbym kartki, na których poruszana jest sprawa teatru szkolnego. Zdaniem mojem ten temat został zbyt po macoszemu potraktowany. Zwłaszcza obecnie, kiedy od szeregu lat teatr szkolny jezuicki staje się ulubionym przedmiotem badań specjalistów baroku, należało więcej uwagi poświęcać tej podówczas tak ważnej instytucji nietylko pedagogicznej, ale także kulturalno-literackiej. O teatrze jezuickim w Polsce pisali już prof. Windakiewicz („Teatr Kollegjów jezuickich w Polsce", Rozprawy Wydziału Fil. Pol. Akad. Umiej. tom 61, n. 2) oraz ostatnio Petersen („Tragoediae Sacrae. Materialien und Beiträge zur Geschichte der polnisch-lateinischen Jesuitendramatik der Frühzeit". Dorpat 1931). Mniejsze lub większe przyczynki możnaby znaleźć także w pracach prof. Windakiewicza „Teatr polski przed powstaniem sceny narodowej" oraz „Teatr polski za czasów Władysława IV". Sądzę, że sporo światła rzuciłaby na rolę i charakter tego teatru niewątpliwie analiza niektórych utworów t. zw. sowizdrzalskich lub rybałtowskich, wydanych przez Badeckiego w cennym zbiorze „Komedja rybałtowska".

Badania nad teatrem szkół jezuickich doby baroku rozrosły się w ostatniem dziesięcioleciu przedewszystkiem w Niemczech. Po rewolucyjnych wystąpieniach w dziedzinie teorji

sztuki (zwłaszcza w odniesieniu do baroku) Riehla i Wölffina— pierwszy po stronie niemieckiej Józef Nadler w swojej pomnikowej historji literatury niemieckiej (1923) zwrócił uwagę na walory artystyczne dramatu jezuickiego. Prawie równocześnie W. Flemming wydał „Historję teatru jezuickiego w krajach niemieckich" (1923). Ostatnio zaś wyszły w r. 1930 dwie prace poświęcone scenie jezuickiej: Jan Muller przedstawił w obszernem dwutomowem dziele dramat jezuicki niemiecki od połowy w. XVI do rozkwitu baroka, czyli na przestrzeni stu lat; Mikołaj Scheid zaś opracował całokształt łacińskiego dramatu jezuickiego na terenie językowem niemieckiem.

Zatrzymawszy się nieco dłużej nad teatrem, pragnąłem zwrócić uwagę na aktualność tematu wśród badaczy siedemnastowiecza. Możeby i u nas znalazł się ktoś, kto również gruntownie, jak Ks. Bednarski całokształtem szkolnictwa jezuickiego, zająłby się specjalnie teatrem jezuickiem. Sądzę, że dzisiaj możnaby w niektórych przynajmniej sprawach wyjść daleko poza wyniki prof. Windakiewicza.

Uderza w pracy Ks. Bednarskiego także to, że najwięcej miejsca i uwagi poświęca szkołom jezuickim w wieku osiemnastym, nie wyzyskawszy,—tak się wydaje—, dostatecznie materjałów siedemnastowiecznych. Jednakże jako monografja o szkołach jezuickich w Polsce przedewszystkiem w w. XVIII daje nam studjum Ks. B. doskonały ich obraz w przededniu ustanowienia Komisji Edukacji Narodowej.

A. F. Kowalkowski.

Dwa światopoglądy.

Możnaby przytoczyć bardzo długą listę najrozmaitszych przewrotów, które zapowiadały nową erę ludzkości. Każdy z nich burzył stare ołtarze, wznosił swoje własne, skupiał dokoła siebie mniejszy lub większy zastęp zwolenników i w końcu... ustępował miejsce innemu, jakoby jeszcze bardziej zba-

wiennemu. Nieodmiennie pod szumnemi, światoburczemi hasłami, kryła się zwykła szara rzeczywistość. Rewolucyjne sztandary, w miarę jak zostawały zaspakajane ambicyjki przywódców, traciły swą jaskrawą barwę, bielały, stawały się bardziej ugodowymi, a przemożni trybuni ludowi i t. p. lekarze ludzkości, okazywali się zazwyczaj sprytnymi kombinatorami.

Cóż obecnie zostało z haseł wolności, równości i braterstwa, z takim rozmachem wypisanych przez rewolucję francuską. Prawdopodobnie nie wiele więcej ponad łatwo wpadającą do ucha melodję „Marsyljanki". Dzięki bezstronnym i pracowitym badaniom historyków okazało się, że naród francuski został wyprowadzony w pole przez różnych szarlatanów, którzy byli na usługach ówczesnych rywali Francji—Anglików, masonów, żydowstwa i t. d. W rezultacie Fracja została pozbawiona na długo swego przodującego miejsca w Europie, zakorzeniły się w niej wpływy masońskie, bezwyznaniowość i stała się pierwszym narodem, przed którym stanęło widmo zagłady, zwane depopulacją, czyli powolnego wymarcia.

Nie będę przytaczał rewolucji rosyjskiej, to rzeczy są już zbyt dobrze znane, aby trzeba dłużej nad nią się zastanawiać. Niejeden zresztą czytelnik „Pro Christo" był zapewne w Rosji w owych czasach, kiedy to naród rosyjski był porwany górnolotnymi frazesami wolności, które później przez jej namiętnych „proroków" Bronsztajnów, Leninów, Zinowiewów, Stalinów i t. p. zostały tak umiejętnie wyinterpretowane, że zamieniły się w jedną z najstraszniejszych tyranji, jakie wogóle ludzkość widziała.

Jeśli wnikniemy w istotną treść wszelkich prądów reformatorskich, rewolucyjnych, które działały na przestrzeni dziejów, to dojdziemy do przekonania, że największym reformatem świata był Chrystus. Jego nauka była w stosunku do panujących wówczas porządków rewolucyjną. Naturalnie w najbardziej dodatnim tego słowa znaczeniu. Postarajmy się choć przez chwilę, przenieść myślą w owe czasy i przynajmniej w przybliżeniu starać się ogarnąć tę przepaść jaka dzieliła

Chrystusa, Jego Ewangelje, w stosunku do antycznego świata. Był to jeden z najbardziej wybujałych okresów materjalizmu, myślano tylko o największem użyciu, w religje pogańskie w gruncie rzeczy nikt nie wierzył, mogły być one uważane jako źródło do pięknych bajek poetyckich, ale w każdym razie nie zdolne były do dania rzetelnego pokarmu duchowego. Bogowie Greccy, Rzymscy w wyobraźni ludów starożytnych byli istotami, które wyrządzały sobie wzajemnie pocieszne psoty. Taki Jowisz, czyli Zeus, naczelne bóstwo, był właściwie starym pijakiem, pochłaniającym niezliczone ilości ambrozji, krótko trzymany przez swą żonę Junonę, którą pocichu zdradzał. Jeśli bogowie żyli sobie bezstrosko, w sposób przypominający Polaków w okresie saskim, to czyż ludzie, twory mniej doskonałe mieli się czemkolwiek krępować? Życie pozagrobowe rysowało się jako coś niezmiernie mglistego i wątpliwego. Istotną wartością było to, co użyto za życia. W tem kierunku wysilano pomysłowość na jaką tylko człowiek ówczesny mógł się zdobyć. Ówczesne bachanalje mogłyby wprowadzić w zdumienie najbardziej zepsutych osobników XX wieku. Świat się wówczas dzielił na dwa obozy, tych, którzy się taczali w złocie i rozpuście, i tych, którzy jęczeli pod batem ciemiężców, ginęli, dostarczając środków do uciech swym władcom. O jakiejś reformie w gruncie rzeczy, oprócz nielicznych jednostek nikt nie myślał. Jedni troszczyli się o to, jak zdobyć nowy bardziej wyuzdany sposób użycia, drudzy— jak złapać za gardło swych dotychczasowych panów i samemu wejść w ich dotychczasowe role. I oto pomiędzy tymi dwoma obozami staje Chrystus i jako najwyższy nakaz i program głosi: Miłość. Miłość, która była zasadniczo dla ówczesnego człowieka czemś zgoła nieuchwytnem, niepojętem, nieznanem, a w każdym razie czemś, co było całkowicie usunięte z życia. Komu głosić tu naukę o miłości? Czy tym, co toną w rozpuście, czy tym, co jęczą pod batem? Zaiste żęby w takich warunkach rzucić taki program, na to trzeba było być Bogiem. Kazać panom, którzy w niewolnikach widzieli istoty zna-

cznie pośledniejsze od psów, uznać ich za braci; niewolnikom kazać miłować ciemiężców, naprawdę „twarda to była mowa", całkowicie nie „z tego świata".

Jakaż była szansa tej nauki w obejściu do tych, co trzymali władzę tego świata. Gdyby jeszcze była podana w ponętnej formie usłużnych filozofów XVIII wieku, gdyby zjawił się jakiś złotousty retor i na „forum romanum" porwał Rzymian dzierżących żelazną ręką rządy. Ale nie, wśród najbardziej upośledzonego i pogardzanego narodu i to pośród jego najbiedniejszej części, ubogiego plebsu zjawia się Mistrz nowej wiary. Po ludzku sądząc wszelkie warunki były potemu, aby nową naukę zlikwidować, aby minęła bez echa tak jak tyle innych. Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem, jak ci prości rybacy galilejscy w cudowny sposób zdobywali narody w sieć Chrystusową, jak z maleńkiego ziarnka gorczycznego rzuconego ręką Boskiego Siewcy wyrósł Kościół Katolicki. Jest to cała kopalnia dowodów nadziemskiego pochodzenia religji Chrystusowej. Temu tematowi trzebaby poświęcić cały szereg tomów. Dla naszego artykułu wystarczy stwierdzić jedno, że nowa religja, przeciwstawiająca się całemu dotychczasowemu poglądowi w sposób krańcowy, rewolucyjny — powstała.

Przeciwstawiły się sobie odtąd dwa poglądy: chrześcijański i pogański. Dzieli ich przepaść nie do przebycia, wszelkie kompromisy są tylko pozorne. Zastanawiając się nad tem zagadnieniem zaczyna się dopiero rozumieć słowa Chrystusowe, iż nikt nie może służyć dwum panom, gdyż albo jednego będzie nienawidzieć, a drugiego kochać, albo jednemu służyć, a drugiego zdradzać. Ziemskie cele, bogactwo, użycie, żądzę panowania, osiąga się poprzez podeptanie innych indywidualności, poprzez podstawianie t. zw. „stołka". Wszystko to nie da się pogodzić z „miłością", fundamentem i podstawą religji Chrystusowej.

Chrystus uznał miłość za najważniejsze przykazanie, na którem oparty jest zakon i prorocy. Z przedziwną niezrównaną jaśnością ujął to zagadnienie św. Paweł, mówiąc że

chociażby kto miał moc taką, iżby góry przenosił, a miłościby nie miał — niczem jest.

To nieustanne podkreślanie znaczenia miłości wydaje się nam ludziom XX wieku nieco dziwnem. A jednak jest ona istotnym pierwiastkiem wiary katolickiej, którego, ani wydrapać, ani obejść nie można. Bez niej jest się katolikiem tylko z imienia, t. zw. katolikiem paszportowym, kryjącym w sobie zgoła inną treść, niż te, którą głosi zewnętrzna etykieta. Trzeba sobie wogóle szczerze, jasno i odważnie powiedzieć, że w nas jest jeszcze bardzo dużo pogaństwa. Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy się kłaniali jakimś glinianym, czy kamiennym fetyszom. Idzie mi tu o pogańskie nastawianie do życia, co jest jednakże rzeczą decydującą. Co z tego, że w kościołach pełno, jeśli w życiu tego katolicyzmu nie widać. Wieleż rzeczy jest, o których się „nie mówi", o których się „nie myśli", ale które są. Czasem jakiś dziennikarz, czy amator sensacji wyciągnie tę czy inną kwestję, poda ją w sosie pikantnym. Zrobi się trochę wrzawy i znów wszystko wraca do dawnego stanu. Do przeróżnych spraw gnijących wśród nas od wieków, przybyła jeszcze jedna: bezrobocie. Niech każdy stara się wczuć w tragedję człowieka, który jest zdrów, chce pracować, a pracy znaleźć nie może. Opowiadano mi o ludziach, którzy dochodzą prawie do szaleństwa, zrywają się rano, gdzieś idą, szukają pracy, choć dobrze wiedzą, że jej nie znajdą. Wiele się przed wojną mówiło o kwestji robotniczej, o podniesieniu stopy parjasów życiowych. Dziś już nie idzie o podniesienie minimum egzystencji, dziś idzie już o życie. I oto w takich momentach, gdy setki tysięcy bezrobotnych walczy o najmarniejsze ochłapy, ich bliźni niejednokrotnie szastają pieniędzmi. Redukuje się nędzarzy, zabiera się im ostatni kęs chleba, zostawia się na lukratywnych stanowiskach dyrektorów pobierających często po kilkadziesiąt, czasem po sto tysięcy *miesięcznie*. Podobny stan rzeczy jest hańbą dla społeczeństwa chrześcijańskiego, urąga najprymitywniejszemu poczuciu sprawiedliwości. Oczywistą rzeczą jest,

iż dyrektor musi pobierać więcej niż robotnik, ale temu dygnitarzowi parę tysięcy wystarczy jeszcze całkowicie na t.zw. przyzwoite utrzymanie. W protestanckiej Amerwce, do niedawna pod względem polityki społecznej zacofanej ustanowiono minimum płac, wzięto się energicznie do walki z bezrobociem. U nas w katolickiej Polsce jest się zazwyczaj głuchym na niedolę drugich. Ten i ów wisząc na jakiejś posadce myśli tylko o swojej skórze, nie bacząc na to, że straszliwa fala, o ile nie napotka solidarnego wysiłku całego społeczeństwa, prędzej czy później go pochłonie. Jakże bardzo przydałby się nam Skarga, aby ponownie rzucił przed sumieniami wszystkich swe płomienne kazania o miłości, jakżeż znów aktualną jest jego przypowieść o okręcie i „głupim tłumoczki swoje opatrującym".

Doprawdy, czas, abyśmy wszyscy wyszli ze swego marazmu i egoizmu pogańskiego. Czyż na podobieństwo Neronów będziemy obojętnie przypatrywać się, jak w nędzy i upodleniu giną na arenie życiowej nasi bliźni? Kościół Katolicki, jako matka wszystkich wiernych, może zmusić swym wysokim autorytetem do otrzeźwienia z gnuśnego letargu.

Pamiętajmy, że dopiero naprawdę katolickie podejście do wszelkich problematów życiowych, uczyni nas uczniami Chrystusowymi. Tradycja Apostolska przekazała nam, iż. św. Jan w ostatnich latach swego żywota, będąc bardzo stary kazał się nieustannie wozić po gminach chrześcijańskich i powtarzał: „Synaczkowie miłujcie się społecznie". W ten sposób chciał tę myśl wrazić w sumienia i umysły wiernych. Miłość społeczna to kwintesencja religji katolickiej i jej zasadnicze znamię.

Duch pogański zalewa dziś wszystkie dziedziny życia. Znowuż, jak za czasów rzymskich głosi się jako cel i dobro najwyższe „użycie". W imię tego fetysza człowiek współczesny gotów jest popełnić wszelkie podłości i zbrodnie. To, że na życzenie najniższych instynktów wtłacza godność ludzką w cuchnące bajora życiowe, mało kogo obchodzi. Nikt się

zazwyczaj o to nie troszczy, że do osobistych celów idzie się przez łzy i niedolę innych. Temu zalewowi winniśmy przeciwstawić się. Wysuńmy śmiało naprzód hasła ewangielicznej miłości. Nie bójmy się tego, że spotkamy się z drwinami i szyderstwem. Pamiętajmy na słowa Chrystusa: „Ufajcie, jam zwyciężył świat"! Na świecie musi zapanować światopogląd katolicki. Niech raz wreszcie zniknie wyzysk i niewolnictwo we wszelkich jawnych i ukrytych postaciach.

Józef Lubicz.

Czytelnictwo i „pajęczarstwo".

Pod tytułem powyższym zamieścił w swoim czasie p. Jan Cz. w Kurjerze Warszawskim artykuł, w którym poruszył niezmiernie ważną sprawę, a mianowicie pajęczarstwa w dziedzinie czytelnictwa, a właściwie może w dziedzinie kolportażu dzienników i czasopism.

Kolportaż dzienników i czasopism w obecnych warunkach, wymaga zmian i usprawnienia w celu wzmożenia czytelnictwa, a równocześnie pokupu.

Warunki, jakie w dziedzinie kolportażu wytworzyły się a ostatnio dają się łatwo zaobserwować nastręczają bardzo wiele zastrzeżeń, to też sprawą tą zainteresował się polski związek wydawców dzienników i czasopism, celem ukrócenia nadużyć, które zakwalifikowano jako nowy typ „pajęczarstwa".

Przykładów stwierdzonego pajęczarstwa w dziedzinie kolportażu jest bardzo wiele i przykro jest właśnie, że tego rodzaju nadużycia nie są rozumiane jako nadużycia, a tak są utarte i rozpowszechnione, iż nieraz wiele bardzo jednostek zajmujących się kolportażem zupełnie podświadomie je popełnia i nie zdaje sobie sprawy, że przecież działa na szkodę cudzej własności.

Wyświadczając pozornie grzeczność i uprzejmość popełniane jest niewątpliwie nadużycie. To też konieczne jest uświadomienie kolporterów, iż wypożyczanie bezpłatne dzienników i czasopism, a gorzej jeszcze jeśli za wynagrodzeniem, musi być kwalifikowane jako wyraźna nieuczciwość.

Często przecież zauważyć można, że na stacjach kolejowych czasopisma są wypożyczane znajomym do przejrzenia, lub przeczytania. Zwracane są one następnie niejednokrotnie bardzo zniszczone, a przez to niemożliwe do odsprzedania.

Nieraz również nadużywana bywa uprzejmość urzędników pocztowych, od których z urzędów zabierane są przez znajomych czasopisma do przeczytania, na krótki przeciąg czasu. Powoduje to następnie opóźnienia w doręczaniu poszczególnych egzemplarzy wskazanym adresatom, bowiem wypożyczane czasopisma zwracane są następnego dnia a nieraz później i często pogniecione lub nawet uszkodzone.

Niektórzy np. kolporterzy, wypożyczając tylko do przejrzenia dzienniki, a zwłaszcza takie, w których wiele jest rozmaitych drobnych ogłoszeń z dziedziny zaofiarowanej i zapotrzebowanej pracy, pobierają każdorazowo po 5 gr. Szczególniej służące, które poszukują nowego zajęcia chętnie z takich propozycji korzystają.

Zdarzają się też czytelnicy w swoisty sposób rozumiejący oszczędność, którzy nabywają po cenie zwykłej odnośny dziennik, a następnie po przeczytaniu zwracają go kolporterowi zamieniając na inny. Można przypuszczać, że tego rodzaju zamiana powtórzy się kilka razy, jeśli tylko okaże się możliwą.

Słusznie więc wskazuje Sz. Autor wzmiankowanego artykułu, że:

> „Niema przecież wątpliwości, że to „pajęczarstwo" pozwala nie nabywać dzienników i czasopism a jednak z nich stale i obficie korzystać, w ten zaś sposób zmniejsza się liczba odbiorców, na czem wy-

> dawnictwa tracą. Jest to tem gorsze, iż nakłady perjodyków są w Polsce znacznie mniejsze, niż w wielu innych krajach, proporcjonalnie do liczby ludności. Z pewnością jednak nigdzie to „pajęczarstwo“ nie kwitnie tak bujnie, jak w Polsce“.

Oprócz omawianego już „pajęczarstwa“ istnieje też swoista i szczególna obojętność dla słowa drukowanego.

Otóż dziś jeszcze w poczekalniach lekarzy, adwokatów, dentystów leżą na stolikach naprawdę przedwojenne czasopisma, a nieraz nawet opatrzone napisem „dozwoleno cenzuroju". Wprawdzie robi to wrażenie humorystyczne, ale jednocześnie jest to też znamienne.

Możnaby przypuszczać, że kryzys gospodarczy tak bardzo wszystkim dał się we znaki, iż nawet na abonowaniu czasopism trzeba czynić rozległe oszczędności, nie mniej jednak te sfery nie doszły chyba do takiego ubóstwa, żeby prenumeratą nie mogły poprzeć obecne wydawnictwa.

Wskazywanie na kryzys, jako na jedyny czynnik, który spowodował zmniejszony pokup dzienników i czasopism, jak również czytelnictwo, jest oczywiście niesłuszne. Charakterystyczne jest to np., że w krajach bardziej kulturalnych istniejący kryzys nie przyczynił się do zmniejszenia czytelnictwa, a przez to zmniejszenia nakładów czasopism, a przeciwnie nawet do wybitnego zwiększenia się. Stany Zjedn. A. P. są właśnie takim znamiennym przykładem.

W zakończeniu wzmiankowanego artykułu podana została ciekawa opinja p. Barnesa, właściciela i kierownika jednej z większych firm wydawniczych, który oświadczył że:

> „Dotychczas żyliśmy pijani dobrobytem. Był to raj głupców. Ludzie byli pochłonięci tak interesami i rozrywkami i tak zadowoleni z siebie, iż nie mieli czasu na czytanie. Obecnie stosunki radykalnie się zmieniły. Wszyscy czytają. Popyt na-

wet na książki naukowe doszedł do poziomów nieznanych w ostatnich 50 latach".

Swoiste „pajęczarstwo" nie oszczędziło oczywiście dzienników i czasopism katolickich, to też wiele potrzeba uświadomienia, by tego rodzaju nadużycia nie miały miejsca. Chcąc jednak przeciwdziałać objawom wzmiankowanego „pajęczarstwa" trzeba też okazać wiele poparcia katolickiej prasie społecznej.

Dzienniki i czasopisma katolickie naogół chętnie są czytywane, ale nie tak rozlegle abonowane. Zapewne, są wyjątki, ale nieliczne. Nieraz przyczyną słabego rozwoju czasopisma katolickiego bywa niewielkie zabezpieczenie materjalne, a nieraz znów społeczeństwo za mało o istnieniu tegoż czasopisma jest informowane.

Chcąc więc przeciwstawić się omawianemu „pajęczarstwu", a przez to wzmóc wybitnie czytelnictwo i to szczególniej dzienników i czasopism katolickich, trzeba naprawdę szczerze, serdecznie i z dużym nakładem pracy i zabiegów zająć się rozległym ich rozpowszechnianiem.

Społeczeństwu polskiemu należy umożliwić zainteresowanie się czasopismami katolickiemi, jak również uprzystępnić ich nabywanie. W dziedzinie tej jaknajbardziej rozległe współdziałanie muszą okazać wszelkie związki i stowarzyszenia o ideologji katolickiej i to głównie może w ten sposób, że podawać będą do wiadomości swych członków spis dokładny z oznaczeniem adresu i warunków prenumeraty wszelkich dzienników i czasopism katolickich wydawanych w Polsce.

Cz. Zbyszyński.

W drodze bez końca.

Coraz mniej ludzi nie wie co to nędza, coraz więcej osób dowiaduje się o istnieniu naszych przedmieść, opanowanych przez głód, rozpacz, zimno, chorobę. Ale dowiaduje się nie

drogą miłosierdzia a drogą śledczego dochodzenia. Na łamach naszych pism, skwapliwie czytanych od suteren do poddaszy, znajdziemy soczyste opisy nędzy, lecz obok i na krwawem tle zbrodni. I wszystko idzie błędną drogą. Dzienniki tkliwie roztrząsają najdrobniejsze szczegóły, budząc podstawową sympatję czytelnika do zbrodniarzy, a jednocześnie, rzecz dziwna, niechęć do świata nędzy. Wogóle bardzo dziwny jest wpływ tych opisów. Chodzę między towarzyszami straconych, błądzę wśród najrozmaitszych mętów i słucham co mówią. Skazani urastają w opinji tych, których surowość wyroków miała odstraszyć na bohaterów, na męczenników kapitału. Nie brak przecież agitatorów, którzy skwapliwie tłomaczą biednym, zbłąkanym, że karze nie sprawiedliwość a kapitał.

Gdy zabili biedną kobietę, to dali cztery miesiące a tu, że to księdza i jakąś sknerę to nie poskąpili.... perorował nie widząc mnie jeden z takich w grupce bezrobotnych.

A czyż można się dziwić, że ludzie ci dają chętny posłuch podobnym słowom. Przecież nie mają nic do stracenia. Na Pogodnej*), o ironjo losu, jest altana obita deskami. Zrobiono z niej mieszkanie dla bezdomnego za 35 zł. miesięcznie. Dach zacieka, wieje wszystkiemi szparami, przez wygniłą podłogę ciśnie się robactwo i szczury. A w izbie chora żona i sześcioro drobiazgu, było dwanaścioro, ale nędza połowę wydusiła. Za dwa tygodnie ma przyjść nowa „pociecha". A pomoc jakby się uparła—wciąż omija dom biedaka. Rozpacz wprost. Graty do ostatka wyprzedane, okruszyny chleba nawet niema... no dosłownie nic. Choć głową o ścianę bij. Rozpacz. Lecz ojciec się zaciął. Obchodzi wszystkie możliwe źródła..... I.... i nic. Chłop był silny, acz już od miesiąca żywi się tylko użebranym chlebem, ale go zmogło, nie ździerżał. — Siedział naprzeciw mnie—ręce mu drżały, oczy były niespokojne, choć suche.

— Trzeba z nimi zrobić koniec, bo już tak dłużej nie można. Co mają pomaleńku w męce zdychać—lepiej odrazu,— tłomaczył mi spokojnie napozór.

---

*) Ulica w Poznaniu.

Mówisz, drogi Przyjacielu, że to straszne.—Moim zdaniem i tak należy podziwiać ten ogrom cierpliwości i wytrzymałości tych ludzi. Na Zawady, do Przytułku dla bezdomnych wciąż przywożą podobnych bohaterów życia. — Spotkałem takich np. Michałów Z.— Wyeksmitowali ich w mróz na ulicę—ojca, matkę w tydzień po porodzie i czworo dzieci. W tem noworodek zawinięty tylko w ligninę i szmaty. Zanim się nimi zaopiekowano, przesiedzieli na bruku sześć godzin. A kiedy ich wreszcie z łaski ulokowali w przytułku, kiedy się przez noc podegrzali, rano wypędzili z łóżek i kazali iść znów na ulicę, bo taki jest przepis. Trudno — kogo to może rozczulać, że dziecko już ledwo żywe, że matka gorączkuje, że najstarsza dziewczynka nie ma trzewiczków. Przepis powiada, że w dzień przytułek ma być opróżniony, więc jazda.

Wychodzą więc całą bandą. Samotni jakoś jeszcze sobie poradzą—pójdą do znajomych, przysiądą w jakim urzędzie, postoją w przedsionku kina, jakoś wytrzymają do szóstej. Ale rodziny?... Albo taka Weronika z nieślubnem dzieckiem chorem na zapalenie płuc?... Ich nie puszczą do urzędu, ich wypędzą z każdego lokalu publicznego. Policję zawołają—Porządek musi być.

Tego nikt nie może pojąć. Nikt z tych co mają dom, choćby nieopalany i nędzny. Oni choć mają dokąd wrócić, mają o co myśl zaczepić, a ci jak zwierz tropiony biegną niepewnie po parzącym lodem chodniku, rozglądając się za jakąś kryjówką.

Ale najprzykrzejszy chyba jest los inteligencji zepchniętej na tę drogę. Mało jest dla niej dostępny fundusz bezrobocia, a ogromny procent tych ludzi nieszczęśliwych nie posiada żadnych danych do korzystania z dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych.

Inteligencja ta, niezorganizowana, nie należąca do żadnych związków, nie posiadająca żadnych reprezentacji, upominających się o minimum pracy, minimum pomocy, jest rzu-

cona na złośliwe fale losu, które pierwej czy później pogrążą ją w toni bezdennej.

W tych dniach byłem świadkiem takiej bolesnej sceny ulicznej. Do elegancko ubranego pana zbliżył się starszy człowiek, skromnie lecz porządnie ubrany o twarzy inteligentnej i budzącej zaufanie.—Zaczepiony przechodzeń zrazu się żachnął, ale gdy zobaczył łzy, spływające po twarzy tego człowieka, sięgnął do kieszeni...

Wkrótce potem stwierdziliśmy, niestety, że nie jest to już dzisiaj fakt odosobniony. Żebrząca inteligencja staje się zjawiskiem dość już częstem. Żebrzą na ulicy i po mieszkaniach ludzie, którzy niedawno zajmowali dobre stanowiska i nieśli pomoc innym. Co się w ich duszach dziać musi? Jakaż to straszna ostateczność!

Mam np. w opiece takiego jednego specjalnie. Nie ma nic, a jeszcze niedawno zarabiał do 40 zł. dziennie.

Przychodzi do mnie z żoną. — Nie narzekają, siadają cichutko w kąciku i tylko zacierają czasami odmrożone ręce. Mówimy o różnych rzeczach ogólnych, zdają się zapominać o swoim losie. Lecz przychodzą chwile reflekcji. Oczy ich jakby uciekają w popłochu.

Tam dopiero—mówi szeptem ten bezrobotny inteligent—tam dopiero pojmuje się właściwą wartość każdej rzeczy. Widzi się, ile jest pojęć i przyzwyczajeń zbytecznych, a ile przedmiotów nie docenianych w życiu. Takie np. mydło—co to za ważna rzecz. Albo bielizna. Jak bardzo boli brudna koszula i kołnierzyk szary, wymiętoszony. I to poczucie bezdomności, jakby w ciągłej męczącej podróży bez końca i bez celu.

Na tem tle dopiero poczyna się rozumieć olbrzymie znaczenie świetlic. Niedawno ogromnie ruchliweTow. Pomocy dla inteligencji otworzyło w szeregu miast takie właśnie świetlice dla tych bezdomniaków. Każdy może zajrzeć i zobaczyć tych ludzi, którzy tam się zbiegają ze wszystkich stron miasta, by wyczekiwać cierpliwie w kolejce na gazetę. Trzeba widzieć

jak ci wymarznięci, w letnich paltach, często bez marynarek, lub tylko z szalem na szyji, jak się ci biedacy rozkoszują się ciepłem i spokojem.

I jeszcze jedno. Byłem w jednym z biur tego Towarzystwa. Ile tam spraw, ile próśb, ile najrozmaitszych kłopotów. Ten prosi o zapłacenie mieszkania, tamten rozglądając się wstydliwie szepce cicho prośbę o bony na żywność. Znać po wszystkich straszny niedostatek.—Twarze wymizerowane, oczy podbite, policzki żółto-zielone, kaszlą. Przychodzą jeden za drugim tłumnie. To jedyny bowiem ich przylądek nadziei, wolą umrzeć niż żebrać, bo jeśli nawet który wyciągnie rękę na ulicy, to tylko dla dziecka.

Musimy więc, musimy koniecznie poprzeć tę instytucję, choćby czemkolwiek, czem kto może. — Wezmą wszystko, bo wszystkiego potrzeba i chleba, i ubrania, pieniędzy, a co najwięcej to serca i słowa dobrego. To ostatnie dać im może młodzież nasza. Niechże ona w służbie świetlicowej, czy w opiece indywidualnej, choć część swego optymizmu, wiary w życie i energji wleje w tych upadłych na duchu ludzi. Dla niejednego z biedaków będzie to miało ratunek od ostatecznego załamania się, od zabójczego opuszczenia rąk.

Każdy społecznik wie doskonale, jak olbrzymie znaczenie nietylko wychowawcze, nietylko duchowe, ale nawet czysto materjalne ma takie odrodzenie wewnętrzne, powrócenie do wiary w siebie. Już nie jednego postawiło to na nogi, dając nowe siły do walki z życiem.

A któż bardziej może zarazić ich tym optymizmem jak młodzież, młodzież wiecznie chora na młodość.

Brat Cezary.

Na froncie walki.

Poradnie świadomego macierzyństwa — „Kurjer Poranny", jako organ „państwowotwórczy"—Ideały „wychowania państwowego", zastosowane w szkolnictwie średniem i wyższem — Dymisje polaków i katedry obsadzone przez żydów—Dwa charakterystyczne procesy — O program w naszem życiu zbiorowem.

Organizują się w Polsce coraz silniej i zakładają nowe placówki żywioły zdecydowanie wrogie religji i moralności chrześcijańskiej. Przykładem mogą służyć t. zw. poradnie świadomego macierzyństwa. Oto, w jaki sposób „Kurjer Poranny" reklamuje powstanie nowej takiej poradni, zatruwającej miazmatami wojującego materjalizmu psychikę biednej i nieuświadomionej ludności:

W d. 17 września w niedzielę przed południem dokonano uroczystego otwarcia Poradni Świadomego Macierzyństwa w nowym lokalu (przy ul. Leszno 23).

Poradnia ta, założona przez Robotnicze Towarzystwo Służby Społecznej (Sekcję Regulacji Urodzeń przy tem towarzystwie), egzystuje już od 27.X.1931 r., a więc prawie dwa lata, mieściła się dotąd w bardzo małym i marnym lokalu nie odpowiadającym celom społecznym takiej instytucji.

Na otwarcie nowego lokalu zaproszono, prócz grona członków Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej, przedstawicieli prasy stołecznej, którzy zresztą przybyli w małej liczbie. A szkoda, bo było co zobaczyć i czego posłuchać.

Nowy lokal poradni składa się z wielkich i widnych trzech pokoi z przedpokojem, hallem i innemi potrzebnemi ubikacjami: pierwszy pokój to duża poczekalnia, następny pokój — przyjęć lekarskich. Lokal świeżo odremontowany, wymalowany do połowy ścian olejną farbą, czyni bardzo miłe wrażenie. W pierw-

szym pokoju na ścianie zwraca uwagę duży plakat — dziecko: mądry chwyt psychologiczny: instytucja jest przyjacielem dziecka i macierzyństwa, jest tylko wrogiem straszliwego młynka obrotu—urodzeń dzieci, nie mogących żyć i natychmiastowych niemal—pogrzebów: obrotu, w którym jest niezainteresowane ani społeczeństwo, ani państwo. W drugim pokoju na ścianie wiszą plakaty naukowe, służące do celów objaśniania pacjentkom sposobów obchodzenia się ze środkami zapobiegawczemi.

Kierowniczka poradni p. dr. Justyna Budzińska-Tylicka przedstawiła zebranym sprawozdanie z działalności poradni za r. 1932.

W r. 1932 przez poradnię przeszło 4 tysiące kobiet. (Od początku zaś istnienia poradni licząc — do 7 tysięcy kobiet). W początku ludność nie rozumiała przeznaczenia poradni i zgłaszały się w większości kobiety ciężarne, którym poradnia już nic nie mogła pomóc: stosunek odrzuconych do przyjętych przez poradnię wynosił w pierwszych miesiącach jej istnienia 5 : 3. Wytrwała praca uświadamiania w poradni o jej celach i zadaniach prędko jednak wydała owoce, gdy już w pierwszem półroczu 1932 r. stosunek nieprzyjętych do przyjętych stanowił 1:4, obecnie zaś—2:11....

Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się wczoraj ze sprawozdania, że poradnia jest zupełnie samowystarczalną, że nie otrzymuje i nie otrzymywała żadnej subwencji ani od samorządu ani od państwa. Nawet obecnie, gdy się zwracała o subwencję z okazji przeprowadzki do większego lokalu.

Zachodzi tu chyba jakieś zasadnicze nieporozumienie.

Szerząc świadome macierzyństwo, poradnia walczy skutecznie z istną plagą społeczną sztucznych poronień, dokonywanych w najstraszliwszych nieraz warunkach.

Powiedziano nam, że tą częścią statystyki poradni zainteresował się Wydział Zdrowia komisarjatu Rządu i departament zdrowia w M. O. S. Nic słuszniejszego!

Bo na 2917 kobiet, przyjętych po raz pierwszy w ciągu roku 1932 przypada 1452 kobiety, które miały 4643 poronień..

Nie bezmyślny wrzask przeciw regulacji urodzeń, jako środkowi obniżania liczby urodzeń w kraju i podcinania jakoby tym sposobem możliwości rozwojowych państwa, może sobie pozwolić tylko ktoś, absolutnie nie umiejący rozeznać się w znaczeniu i ustosunkowaniu wzajemnem zjawisk wyśrubowanej, bezmyślnej rozrodczości i przerażająco wysokiej śmiertelności niemowląt w Polsce. Jeżeli śmiertelność niemowląt do roku życia wynosi w Polsce 20,3%, podczas gdy w Rosji Sowieckiej—17%, w Czechosłowacji—17%, w szeregu zaś państw europejskich od 5 do 10%, — to czas już podnieść, że nie leży w interesie państwa przodować w tych makabrycznych pląsach urodzeń i śmierci na przestrzeni jednego roku życia, nowonarodzonego.

* * *

Po p. dr. Budzińskiej-Tylickiej zabrał głos lekarz poradni dr. Rubinraut, streszczając wyniki ruchu regulacji urodzeń na terenie międzynarodowym. W dyskusji zabrało głos parę osób, przeważnie przedstawicieli prasy, przyrzekając przyczynić się do rozwoju poradni odpowiednią propagandą.

Niezmiernie interesującego przyczynku do sprawy regulacji urodzeń dostarczyło przemówienie delegatki na Kongres Lekarzy i przyrodników od Sowietów, p. prof. Mendelejewoj o tym odcinku działalności w Rosji. W Sowietach mianowicie całą akcję regulacji urodzeń prowadzi rząd. W samym Leningradzie działa w tej chwili 33 stacje — ambulatorja, utrzymywane przez miasto, zajmujące się regulacją urodzeń. Pozatem przy 63 fabrykach leningradzkich działają również odziały regulacji urodzeń, ażeby robotnice miały poradę, uświadomienie i pomoc na miejscu. Sowiety nakładają, jako państwo, mocną rękę i na tę sprawę: jak wiadomo, poronienia są tam legalne, jakkolwiek wychodzi się z założenia, że każde poronienie jest szkodliwe; nie ma mowy jednak o tem, ażeby sprawę rodzenia dziecka uzależniano w Rosji od widzi mi się kobiety: decydują tu położenie ekonomiczne danej kobiety, jej warunki pracy, niekiedy uniemożliwiające czasowo macierzyństwo, jej

zdrowie fizyczne i psychiczne. Decyduje więc znów kryterjum interesów państwa i społeczeństwa, nie zaś jednostki...

Zakończenie przemówienia p. Mendelejewoj apelem do nawiązywania jaknajżywszego kontaktu pomiędzy pracą nad ochroną macierzyństwa w Polsce i Rosji spotkało się z bardzo miłem przyjęciem wszystkich obecnych.

Przy okazji dowiadujemy się kilku ciekawych szczegółów. Jak charakterystyczna jest skarga kierowników poradni, że początkowo ludność brała poradnię za instytucję ułatwiającą spędzanie płodu. I nie omylił się w danym wypadku zdrowy instynkt ludności. W gruncie bowiem rzeczy propaganda, zwrócona przeciwko macierzyństwu sprowadza w rezultacie ten sam skutek — wyludnienie kraju, a nawet działa daleko szybciej i niebezpieczniej. Łatwiej jest bowiem wystrzegać się macierzyństwa, niż zdecydować się na zawsze ryzykowną i niepewną operacją. Niezmiernie znamienne było również zaproszenie na otwarcie poradni delagatki z Sowietów, p. Mendelejewoj. Co za powinowactwo duchowe między polską poradnią świadomego macierzyństwa, a analogicznymi instytucjami w Rosji Sowieckiej! I tu i tam prawo moralne zostało podeptane, więcej, oparte nietylko na prawie Boskim i naturalnym, lecz także na zdrowym instynkcie samozachowawczym społeczeństwa — zerwane. Różnica istnieje tylko ta, że gdy w Sowietach dozwolona jest już urzędowo zbrodnia zabójstwa płodu, w Polsce prawo karne załatwiło tę sprawę kompromisowo, a poradnie świadomego macierzyństwa propagują występek onanizmu. Jak wiemy z Biblji, za występek ten karze Bóg śmiercią, co można rozumieć również i symbolicznie, jako śmierć nietylko danego człowieka, lecz także wygaśnięcie danego pokolenia i narodu.

Gdy idea katolicka zwycięży i zapanuje w Polsce, jedną z pierwszych naszych czynności będzie zburzenie poradni świadomego macierzyństwa i wytworzenie na ich miejsce poradni higienicznych, mających na celu zmniejszenie śmiertelności wśród niemowląt i wzięcie w opiekę matki i dziecka.

„Kurjer Poranny" opanowany został przez piłsudczyków i służy rzekomo myśli państwowej. Jest to jednak w tym piśmie tylko frazes i forma zewnętrzna, skoro równocześnie propaguje się na jego łamach ideje, właśnie z punktu widzenia państwowego najbardziej niebezpieczne, prowadzące bowiem w konsekwencji do wyludnienia. A jeszcze jeden dowód, jak pojmuje „Kurjer Poranny" ideję państwową. Ostatnio drukowana była w tym organie napisana zresztą z dużym talentem powieść Heleny Z. Smith p. t. „Pasierbice wojny", opisująca przeżycia pielęgniarek i innych ochotniczek służby pomocniczej angielskiej podczas wojny na zachodnim froncie. Otóż na każdej stronicy tej powieści uderzała czytelnika tendencja i nuta stuprocentowego defetyzmu, zniechęcenia i zaniku wszelkich uczuć patrjotycznych. Pod tym względem powieść przypominała bliźniaczo książkę Remarqua — „Na zachodzie bez zmian". Młoda angielka, opisująca swoje przykre niewątpliwie i smutne, jak zwykle na wojnie, przeżycia, ani razu nie wpadła na myśl, że przecież smutne te koleje są rezultatem poświęcenia dla Ojczyzny, którą broni przed nieprzyjacielem. Przeciwnie, ciągle spotykamy się z rozumowaniem, prowadzącym do całkowitego zniechęcenia, upadku ducha, a nawet pewnego rodzaju bolszewizmu duchowego. I takie powieści znajdujemy w odcinku pisma „państwowotwórczego"!

I nic dziwnego. „Kurjer Poranny" jest nadal, jak był dawniej, a nawet w większym stopniu organem masonerji i wojującego bezbożnictwa.

Przeczytajmy tylko, co wypisuje w swoich artykułach taki p. Rzymowski. Pisząc np. o konkordacie zawartym z Włochami i Niemcami pozwala sobie ten organ sanacyjny na taki paszkwil pod adresem Kościoła:

„Wolność słowa—pisze—wolność sumienia, wolność badań naukowych, szkoła świecka i etyka niezależna od dogmatów religijnych—wszystkie te zdobycze, wywalczone przez mieszczaństwo, a dziedziczone dziś przez świat pracy, jako potężna dźwignia

jego wyzwolenia, były zawsze nienawistnym i dotkliwym cierniem w oku duchowieństwa. Obecnie, gdy walą się pod obuchem faszyzmu, kościół nie może oprzeć się pokusie zjadliwej radości i cieszy się myślą, że triumf faszystów jest trochę także triumfem jego własnym.

W uciesze tej wspiera go zresztą gorliwość, z jaką rządy faszystowskie otaczają instytucje kultu religijnego oznakami zewnętrznego szacunku i splendorami dygnitarstwa, zapewniając klerowi uprzywilejowane stanowisko zawodowe i wywyższając w hierarchji społecznej nietylko kościół, jako dom Boży, ale i kurję biskupią i nawet plebanję proboszcza, jako posterunki powagi ziemskiej i doczesnej pomyślności.

Czyż Mussolini, istotnie, nie zwolnił kleryków od obowiązku powszechnej służby wojskowej? Czy nie podniósł uposażeń kleru? Czy w progi gimnazjów i wszechnic nie wprowadził z powrotem sutanny księżej? Czy nie nie obdarował papieża odrębnem państwem kościelnem, coprawda, w kieszonkowym formacie? A Hitler czyż rękoma, nie otartemi jeszcze z krwi przelanej przez jego szturmówki, nie doprowadził do skutku konkordatu z Rzymem"?

W końcu powołuje się na słowa Benedykta Croce, że idea, która Kościołowi zapewniała wielkość, „już nie żyje".

O negatywnem ustosunkowaniu Kościoła wobec nadużyć rządów nacjonalistycznych wie każdy inteligentny człowiek, a także o tem, że konkordaty nie są zwykle wyrazem stuprocentowego zwycięstwa idei katolickiej. Są to umowy międzynarodowe, będące wyrazem kompromisu, a nie dowodem uznania danego systemu politycznego. Tylko taki nieuk od pisania paszkwilów może czynić Papieża odpowiedzialnym za rządy Hitlera i Mussoliniego.

Przyjaciele ideowi pp. Stpiczyńskiego i Rzymowskiego panują obecnie w Hiszpanji i przypatrzmy się, jaką pracę kulturalną wykazali wobec instytucyj katolickich:

Jedno z pism amerykańskich zrobiło następujące zestawienie barbarzyńskich wyczynów masońskich w Hiszpanji.

Zamknięto 416 szpitali, pielęgnujących 82.382 chorych, 68 klinik, leczących 51.341 ludzi, 38 aptek, przeznaczonych dla biednych, które w ostatnim roku udzieliły darmo lub pół darmo lekarst w 23.961 wypadkach, 66 instytucji „Kropla mleka", zaopatrujących za darmo w mleko 30.784 osoby, 518 schronisk dla ubogich, opiekujących się 39.077 osobami, 43 schroniska, opiekujące się 18.073 osobami umysłowo chorymi, 12 zakładów dla trędowatych z 15 320 chorymi, 158 kuchen dla ubogich, które rozdzielały 190.460 porcji jedzenia, 35 domów poprawczych o 4.943 pupilach, 349 stacji dla chorych, które udzieliły pomocy w 91.712 wypadkach, 538 innych instytucyj, w których doznawało pomocy 118.629 osób.

Tak samo rządzący masoni postąpili ze szkołami katolickiemi. Jedna trzecia młodzieży szkolnej, blisko 602.000 i przeszło połowa uczniów szkół średnich, około 27.000 uczyło się bezpłatnie w szkołach katolickich. Zamknięto je jednym zamachem bez względu na to, że niemożna było tych instytucji zastąpić innemi wskutek braku środków i sił odpowiednich. Ale zamknięto je dlatego, że były pod wpływem Kościoła i że kierowane były przez księży i zakonnice.

O tem wszystkiem wielka światowa prasa nie pisze ani słówka. A prasie hiszpańskiej o hańbie tej pisać nie wolno, tem mniej ją piętnować. Wszelkie próby w tym kierunku są unicestwiane przy pomocy wysokich kar i konfiskat. Dowodem tego fakt, że od stycznia do lipca 1933 r. 102 gazety, wychodzące w 37 miastach, zastały ukarane grzywnami, dochodzącemi do 10.000 pezetów (7.200 zł.).

Przyjaciele polityczni „Kurjera Porannego" zajęli się w ostatnim roku ze szczególnem upodobaniem szkolnictwem i wychowaniem młodzieży w duchu ideałów państwowych. Cóż, kiedy to wychowanie państwowe nosi w niektórych przejawach charakter wyraźnie antykatolicki i materjalistyczny. Oto jak je charakteryzuje publicysta „Kurjera Warszawskiego", ks. Z. Choromański w artykule p. t. Kryzys wychowania:

Pomińmy mnożące się skargi, że w wielu szkołach, a nawet na całych terenach szykanuje się organizacje tego rodzaju,

jak Sodalicje Marjańskie, Krucjatę Eucharystyczną, stowarzyszenia młodzieży polskiej, które z programem wychowania państwowego zupełnie nie kolidują.

Nie będziemy analizowali przykrego incydentu, który niemile dotknął katolików, mianowicie zakazu kuratorjum krakowskiego rozpowszechniania „Przewodnika Katolickiego" na terenie szkół, „Przewodnika Katolickiego", najpopularniejszego tygodnika katolickiego w Polsce, nie wolno rozpowszechniać w szkole!?

Chcielibyśmy się zająć ideologją organizacji t. zw. „Legjonu Młodych". Prawo realizowania programu wychowania państwowego na wyższych uczelniach przywłaszcza sobie „Legjon Młodych". Organizacja ta odbywa swe kongresy i walne zebrania przy wyraźnem poparciu czynników rządowych, ma swój tygodnik „Państwo Pracy", w którym ogłasza swe rezolucje i uchwały. (Na terenie szkół średnich tę samą rolę ma spełniać „Przednia Straż", której organem jest dwutygodnik „Kuźnia młodych").

I tutaj właśnie tkwi źródło głębokiego niepokoju opinji katolickiej, bo przecież żaden katolik nie może uznać programu „Legjonu Młodych" za program „wychowania państwowego".

„Legjon Młodych" ma być „organizacją ideowo-wychowawczą".

Zobaczmy, jakie są to „ideały" i „postulaty".

Postulatów tych jest wiele, ale tylko niektóre podkreślmy.

„Utożsamianie przez szerokie warstwy społeczne—czytamy w rezolucjach krakowskich—religji z klerem, jako szkodliwe dla pogłębiania duchowego życia religijnego, winno być usunięte z życia polskiego..." (Rez. 19, Kraków).

Zwykła to droga—zaczyna się od antyklerykalizmu, a kończy się zupełnym ateizmem.

Ciekawe jest także stanowisko „Legjonu Młodych" do konkordatu.

„Konkordat z r. 1925, to umowa międzynarodowa państwa polskiego, która jest przykrym spadkiem z okresu przedmajowe-

go, obniżającym jego powagę i krępującym swobodę działania". (Kraków, rez. 3, teza komendy okręgu).

Mamy jednak jeszcze bardziej jasne postawienie sprawy przez „Legjon Młodych". Oto w jego organie „Państwo Pracy", z dnia 30 lipca r. b. (Nr. 25, II) zamieszczony został niesłychanie napastliwy artykuł Jana Duchnowskiego p. t.: „Dlaczego Watykan popiera wrogów Polski?"

Autor obszernie w perfidny sposób stara się wmówić w czytelnika, że Watykan urabia politykę... szkodliwą dla Polski... „idącą na rękę włosko-niemieckiego porozumienia"!?... — i autor ma sposób „jedynie skuteczny" na te „zakusy" Watykanu: — „...zmusi (polityka Watykanu) bowiem państwa posiadające ludność przeważnie katolicką, które będą chciały zachować swobodę swych decyzji w polityce i uchronić się od pozostania „kolonją rzymską" do prowadzenia zdecydowanie antykościelnej polityki, która okazuje się, niestety, jedynym sposobem do zmuszenia Rzymu do ustępstw".

Widzimy, że przejrzyste są cele takiego stawiania sprawy.

Ale mamy jeszcze bardziej dosadną enuncjację w tymże samym organie „Legjonu Młodych" z dnia 16 lipca r. b. (Nr. 24 — II) w naczelnym artykule Feliksa Woźniaka p. t. „Musi powstać nowa szkoła".

Między innemi tak dosłownie czytamy w tym artykule:

„Drugiem zadaniem wychowania jest budzenie poczucia wartości w życiu dziecka. Młodzież dzisiejsza podlega jednemu wspólnemu cierpieniu—brakowi wiary. Po wojnie wszystkie dotychczasowe autorytety w sprawach religji, polityki, wychowania, moralności runęły pod gruzami swych doktryn.

Wiary jeszcze niema, ale należy ją stworzyć. Powrót do wiary dawnej jest niemożliwy, ale możliwe jest naprowadzenie na wiarę nową—wiarę w życie, w życie, które będąc powszechnością, jest zarazem szczegółowością — które jest niepodzielne, a jednocześnie nieskończone w swych odmianach".

Czyż potrzeba do tak przejrzystych enuncjacji jakichkolwiek komentarzy?

Komentarze są zbyteczne.

Ale jeżeli w postulatach „Legjonu Młodych" ma się zawierać program wychowania państwowego — w co nie chcemy wierzyć—to czyż niepokój opinji katolickiej nie jest uzasadniony? Przed tego rodzaju zakusami musimy się bronić.

Tak więc na terenie szkolnictwa popiera się organizacje, podrywające systematycznie podstawy moralne i wychowawspołeczeństwa, oraz atakujące największy i jedynie prawdziwy autorytet moralny—Kościół katolicki. Na miejsce zaś autorytetu Kościoła, na którego obaleniu pewnym sferom zależy, zamierzają one postawić interes polityczny grupy rządzącej, zindentyfikowany z interesem państwowym.

Ta sama metoda zastosowana w innej płaszczyźnie na terenie wyższych zakładów naukowych doprowadziła już do zniesienia przeszło 50 katedr i odesłania w ten sposób na emeryturę kilkudziesięciu wybitnych profesorów, którym można zarzucić tylko jedno, mianowicie, że politycznie nie byli zwolennikami lub też byli przeciwnikami B. B. W.-R.

Oto spis zwiniętych katedr, który podajemy za „Gazetą Warszawską":

W myśl ogłoszonych rozporządzeń skasowano następujące katedry:

Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie zwinięto na wydziale filozoficznym nieobsadzone katedry filozofji, geografji fizycznej i kartografji oraz katedrę historji kultury prof. Stanisława Kota.

Na wydziale prawa i administracji zwinięto katedrę ekonomji i polityki ekonomicznej prof. Adama Haydla. Na wydziale lekarskim zwinięto nieobsadzoną katedrę medycyny sądowej.

W Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie zwinięto na wydziale humanistycznym wakującą po prof. Marjanie Zdziechowskim katedrę historji i literatury powszechnej oraz katedrę filozofji romańskiej prof. Stanisława Glixellego.

Na wydziale prawa i nauk społecznych zwinięto katedrę prawa i procesu karnego zajętą przez prof. Stefana Glazera.

Na wydziale lekarskim zwinięto katedrę chorób wewnętrznych prof. dr. Zenona Orłowskiego i katedrę biologji prof. J. Wilczyńskiego.

Na wydziale sztuk pięknych zwinięto nieobsadzoną katedrę architektury polskiej.

Na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie na wydziale teologicznym zwinięto katedrę homiletyki ks. prof. Stanisława Żukowskiego, katedrę katechetyki i pedagogji ks. prof. Zygmunta Bielawskiego oraz katedrę socjologji chrześcijańskiej ks. prof. Andrzeja Mytykowiczu.

Na wydziale humanistycznym zwinięto katedrę historji sztuki nowożytnej prof. dr. Władysława Kozickiego, katedrę filologji angielskiej prof. dr. Władysława Tarnawskiego oraz nieobsadzoną katedrę kultury bliskiego Wschodu.

Na wydziale prawa zwinięto wakującą po prof. Chlamtaczu katedrę prawa rzymskiego, nieobsadzoną po śmierci prof. Balzera katedrę historji prawa polskiego, wakującego po przejściu na emeryturę prof. Głąbińskiego katedrę ekonomji politycznej, nieobsadzoną katedrę prawa i postępowania sądowokarnego oraz katedrę ogólnego i polskiego nowożytnego prawa politycznego prof. Edwarda Dubanowicza.

Na wydziale matematyczno-przyrodniczym zwinięto katedrę matematyki prof. dr. Władysława Ruziewicza.

Na Uniwersytecie poznańskim zwinięto wakującą po przejściu na emeryturę prof. Dembińskiego katedrę historji nowożytnej, wakującą po śmierci prof. Dobrzyckiego katedrę historji i literatury polskiej, katedrę historji filozofji prof dr. Adama Żółtowskiego, katedrę pedagogiki prof. dr. Ludwika Jaxa-Bykowskiego, katedrę filozofji klasycznej prof. dr. Jana Sajdaka i katedrę języków wschodnich prof. dr. Antoniego Śmieszka. Na wydziale prawno-ekonomicznym zniesiono nieobsadzoną katedrę prawa administracyjnego, a na wydziale matema-

tyczno-przyrodniczym nieobsadzone katedry paleontologji oraz systematyki i geografji roślin.

Na wydziale lekarskim zwinięto katedrę higjeny prof. dr. Pawła Gantkowskiego.

Na Politechnice Warszawskiej na zniesionym wydziale ogólnym zwinięto katedrę fizyki teoretycznej prof. Wojciecha Rubinowicza, katedrę matematyki prof. Kuratowskiego i katedrę rysunków figuralnych prof. Jana Rosena.

Na wydziale inżynierji lądowej i wodnej zniesiono nieobsadzone katedry geologji i paleontologji, katedrę rolnictwa oraz katedrę fizyki prof. Klemensiewicza.

Na wydziale chemicznym zwinięto nieobsadzoną katedrę botaniki i towaroznawstwa.

Na wydziale inżynierji lądowej zniesiono katedrę wytrzymałości tworzyw prof. Leona Karasińskiego, na wydziale inżynierji wodnej zwinięto nieobsadzoną katedrę ekonomji politycznej, a na wydziale mechanicznym nieobsadzoną po śmierci profesora Adamieckiego katedrę organizacji pracy i przedsiębiorstw.

Na wydziale elektrycznym zwinięto katedrę elektrotechniki teoretycznej prof. Leona Staniewicza oraz katedrę urządzeń maszynowych prof. Antoniego Rogińskiego.

Na wydziale architektury zniesiono nieobsadzoną katedrę historji sztuki i architektury średniowiecznej.

Na Akademji górniczej w Krakowie zwinięto na wydziale górniczym nieobsadzone katedry prawoznawstwa i organizacji przedsiębiorstw przemysłowych.

Na uniwersytecie warszawskim, akademji weterynaryjnej we Lwowie, w szkole głównej gospodarstwa wiejskiego oraz akademji sztuk pięknych w Krakowie nie zwinięto jeszcze żadnej katedry. Nie zapadła też decyzja co do trzynastu katedr studjum leśnego w Poznaniu, studjum lasowego we Lwowie, oraz studjum farmaceutycznego w Wilnie. Na studja te wstrzymano przyjmowanie kandydatów na pierwszy rok i dlatego należy oczekiwać, że wspomniane katedry ulegną stopniowej likwidacji.

Na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie stworzono na wydziale teologicznym katedrę filozofji chrześcijańskiej, w uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie stworzono na wydziale teologicznym katedrę filozofji chrześcijańskiej, a na wydziale prawa i nauk społecznych studjum prawa litewskiego, na wydziale matematyczno-przyrodniczym katedrę biologji. W Uniwersytecie warszawskim stworzono na wydziale humanistycznym 6 nowych katedr socjologji, etnologji i etnografji ogólnej, etnografji polskiej, egiptologji, sinologji i turkologji. W politechnice lwowskiej stworzono na wydziale architektury katedrę rysunków figuralnych i katedrę historji architektury polskiej.

Jak widzimy, na emeryturę pójdą przeważnie ci profesorowie, którzy byli czynni w okresie protestu wyższych uczelni w sprawie brzeskiej oraz wypowiadali ujemną opinję o projektach ustawodawczych min. Jędrzejewicza, dotyczących reformy szkolnictwa. Projekty te stały się prawem i zwróciły się odrazu, co było do przewidzenia, przeciwko ich osobom. Żadne względy rzeczowe i naukowe nie przeszkodziły p. Jędrzejewiczowi w wykonaniu jego planu, który polega na zrobieniu z instytucyj naukowych instrumentu polityczno-partyjnego. Nie długo będziemy czekać na fatalne skutki tych zarządzeń w dziedzinie życia naukowego i wychowania.

I takie eksperymenty czyni się w tych czasach, kiedy nauka polska staje się coraz bardziej zażydzoną, a przez to grozi jej zatrata pierwiastków polskich i katolickich. Tytułem przykładu cytujemy spis proferosów żydów, wykładających tylko na Uniwersytecie Warszawskim („Gazeta Warszawska"):

Najbardziej zażydzony jest wydział lekarski uniwersytetu, gdzie, prócz wymienionych w tym spisie profesorów żydów, i docentów żydów, jest znaczna ilość żydów wśród najmłodszych sił naukowych. Zauważyć bowiem należy, że profesorowie żydzi w większości wypadków dobierają sobie w charakterze asystentów studentów żydów.

Następujący żydzi wykładają na uniwersytecie warszawskim:

Na wydziale prawa: kandydat praw Henryk Konic, prowadzi zlecone wykłady prawa cywilnego i seminarjum tego przedmiotu.

Na wydziale lekarskim: Henryk Nusbaum — prof. filozofji medycyny, prowadzi zlecone wykłady z logiki lekarskiej i z etyki lekarskiej; Henryk Brokman—docent chorób dziecięcych; Seweryn Cytronberg—doc. medycyny wewnętrznej; Stanisław Klein—doc. chorób wewnętrznych; Piotr Słonimski — doc. historji i embrjologji; Władysław Sterling — doc. chorób nerwowych; Stefan Sterling-Okuniewski—doc. patologji i terapji szczegółowej chorób wewnętrznych, prowadzi zlecone wykłady z kliniki chorób zakaźnych; Juljusz Zweibaum—doc. histologji i embrjologji; Jakób Kahan — st. asystent kliniki chirurgicznej (Elektoralna 12); Henryk Lewenfisz—st. asystent kliniki otolaryngologicznej; Jan Srebrny — st. asystent tejże kliniki; Jakób Neyman — st. asystent kliniki okulistycznej; Ludwik Hirszfeld — docent bakterjologji i serologji; Ignacy Sznajderman — asystent kliniki chorób nerwowych.

Na wydziale humanistycznym: Szymon Askenazy hon. prof. historji; Marceli Handelsman — prof. historji powszecznej i kierownik seminarjum tego przedmiotu; Mojżesz Schorr — doc. języków semickich i historji starosemickiego Wschodu; Stefan Przeworski — doc. historji; Majer Bałaban — doc. historji żydów ze szczególnem uwzględnieniem historji żydów w Polsce; Henryk Elzenberg—docent filozofji; Dina Sztejnbarg — st. asystent seminarjum filozoficznego; Bogumił Jasinowski — docent filozofji (obecnie przeniesiony na katedrę do Wilna); Zdzisław Żmigryder-Konopka—asystent historji starożytnej; Alfred Tarski (Tajtelbaum) — doc. filozofji; Estera Markin—asystentka nieetatowa zakładu psychologji doświadczalnej.

Na wydziale matematyczno-przyrodniczym: Samuel Dikstein prof. matematyki i historji matematyki; Mieczysław Centnerszwer — prof. chemji fizycznej; Aleksander Raichman — docent

matematyki; Arnold Walfisz — docent teorji liczb i teorji funkcyj; Edward Szpilrajn—asystent seminarjum matematycznego; Golda Flancer — st. asystent zakładu fizjologji roślin.

Spis powyższy obejmuje ogółem 32 nazwiska żydowskie.

Ciekawe byłoby stwierdzić, ilu żydów, a ilu polaków utraciło katedry z powodu reformy min. Jędrzejewicza. Zestawienie byłoby bardzo pouczające.

Przejdźmy jednak do innej dziedziny naszych stosunków wewnętrznych. Z powodu ostatnich procesów politycznych pisała niedawno „Polonja", ujmując to zagadnienie zasadniczo z punktu widzenia katolickiego:

W dwuch miastach Małopolski odbywają się dwa procesy o morderstwa polityczne. W Sanoku—proces przeciwko mordercom działacza Stron. Narodowego, śp. Chudzika, w Samborze przeciwko działaczom ukraińskim o zamordowanie działacza sanacyjnego śp. Hołówki. Motywy obu zbrodni są jedne i te same: zaślepiona nienawiść z pobudek politycznych. Śp. Chudzika zamordowali w sposób ohydny zwolennicy obozu sanacyjnego, na ławie oskarżonych zasiadają urzędnik samorządowy i dwuch urzędników policji państwowej. Śp. Hołówkę zamordowali działacze tajnej organizacji terorystycznej ukrańskiej, lecz na ławie oskarżonych zasiadają nie bezpośredni sprawcy, lecz ich poplecznicy, dwuch ludzi prostych i jeden inteligent, syn proboszcza grecko-katolickiego, który równocześnie służył i swojej zbrodniczej organizacji narodowej i Polskiej Policji Państwowej.

Akty oskarżenia i dotychczasowy przewód w obu procesach częściowo odsłonił już kulisy spraw i naświetlił ich tło. Okazuje się, że procesy te nie są zwykłemi procesami skrytobójców lub jawnych terorystów. Niezawodnie, sprawcy w jednym i drugim wypadku otrzymają zasłużoną karę i formalnej sprawiedliwości stanie się zadość. To jednakże nikogo zadowolić nie może i nie z tej przyczyny te dwa procesy zasługują na szczególną uwagę całej zdrowej opinji publicznej

Na ławie oskarżonych i w Samborze i w Sanoku zasiadają pewne zasady, które zboczeńcy moralni uważają za dopuszczalne. W jednym wypadku oskarżona jest obłąkana nienawiść partyjna, w drugim ślepa nienawiść narodowa i żądza zemsty. W jednym i drugim wypadku zbrodniarze przekonani byli, że znajdą aprobatę u tych, którzy stoją nad nimi, których widocznie posądzali o hołdowanie zasadzie, że cel uświęca środki. Ujawniane momenty natury materjalnej dosadniej tylko jeszcze malują ciemne tło tych spraw.

Dobrze się stało, że oba te procesy odbywają się równocześnie. Przeciętny czytelnik pism może sądzić, że obie te sprawy niewiele mają z sobą wspólnego, bo w Sanoku oskarżeni są Polacy, którzy zamordowali Polaka, a w Samborze mamy do czynienia z Ukraińcami, którzy współdziałali w zamordowaniu Polaka. Każdy z tych wypadków ma swoistą tragedję. Tragedją jest zamordowanie w niepodległej Polsce Polaka, według swojego sumienia najlepiej służącego Ojczyźnie, przez Polaków, powołanych do czuwania nad porządkiem prawnym w państwie. Okropną jest rzeczą, że ci sprawcy liczyli na to, że pozostaną nieznanymi. Tragedją jest zamordowanie śp. Hołówki przez Ukraińców, bo Hołówko wśród Polaków zaliczał siebie do najlepszych przyjaciół Ukraińców. Jeden z oskarżonych twierdził, że w zbrodniarzy wmawiano, iż Hołówko ponosi odpowiedzialność za „pacyfikację" Wschodniej Małopolski. A jednak motywy obu zbrodni i tej z Brzozowa i tej z Truskawca i „zasady", oskarżone w obu sprawach, stoją z sobą w przyczynowym związku. Wyroki w obu tych sprawach będą nietylko pomszczeniem zbrodni na sprawcach, ale zdrowa opinja publiczna będzie je uważała za potępienie zasad mogących wyrość na wielkie niebezpieczeńtwo dla państwa.

Ślepa nienawiść, czy to partyjna, czy narodowa, popychająca ludzi do zbrodni, nie może być pod żadnym warunkiem tolerowana. Zasada, że cel uświęca środki, w chrześcijańskiem państwie nie może być cierpiana. Nie powinno być w państwie naszem zbrodni, których sprawcy pozostają niaznani. Złą jest

moralność, która w jednym wypadku pewne czyny uznaje za cnoty i bohaterstwo a w drugim za zbrodnię.

Obydwa te procesy odsłoniły istotnie prawdziwe bagno moralne w naszym życiu wewnętrznym. Nie jest dla nas nowiną, że wśród społeczeństwa ukraińskiego istnieją żywioły zbrodnicze, których metody polityczne tak bardzo odbiegają od etyki, że trudno je nawet łączyć z jakimkolwiek patryjotyzmem, czy normalną akcją polityczną. Fakty takie zdarzały się i przed wojną. To też objawem daleko bardziej przerażającym jest proces w Sanoku, gdzie zasłużeni polacy padli ofiarą nie wrogów narodu i państwa polskiego, lecz swoich własnych rodaków, zgangrenowanych i zdemoralizowanych do szpiku kości metodami rozgrywki wewnętrzno-politycznej. Najfatalniejszym jest to, że — jak się wyraził jeden z adwokatów— jeżeli morderstwa tego nie można nazwać ani osobistym, ani politycznym—to pozostanie tylko nazwa morderstwa policyjnego. Fakt ten oświetlił, jak błyskawica, rzeczywistą rzeczywistość polską.

Aby ratować naród i państwo przed gangreną wewnętrzną i moralną, społeczeństwo musi się organizować w myśl zasad katolicko-społecznych i narodowych, musi wypracować program działania w życiu zbiorowym. Nad programem tym zagranicą pracują już katoliccy mężowie stanu. Oto np. taki Dollfuss, chrześcijańsko-społeczny kanclerz Austrji w jednym ze swoich ostatnich przemówień proklamował program przebudowy ustroju gospodarczo-społecznego, oparty na Quadragesimo Anno. Podajemy przemówienie Dollfussa w streszczeniu „Głosu Narodu":

Dollfuss przeprowadził ostrą krytykę życia politycznego w ostatnich dziesiątkach lat. Zwrócił się głównie przeciw dwom kierunkom, które uformowały dotychczas obowiązujący w Europie „ustrój": przeciw liberalizmowi i socjalizmowi... Liberalizm (zarówno polityczny, jak gospodarczy i kulturalny) wbrew swym założeniom, ale konsekwentnie do swej zasady indywidualizmu dał grunt pod walkę społeczną, której rezultatem jest—proleta-

ryzacja mas pracujących (w życiu gospodarczem), i parlament partyjny jako ujście dla gromadzących się politycznych antagonizmów. Proletaryzm, kapitalizm i formalno-parlamentarna demokracja — stanowią związaną z sobą grupę zjawisk wywodzących się z liberalizmu.

Socjalizm—duchowe dziecko liberalizmu kulturalnego—stanął na gruncie toczącej się już walki i tej walce nadał formy zorganizowanej walki klas.

Ten „ustrój" nie da się dłużej utrzymać. Nadchodzi moment przebudowy, likwidacji liberalizmu i socjalizmu.

I teraz idą najciekawsze momenty z mowy Dollfussa. Momenty pozytywne...

Społeczeństwo nie jest aglomeratem indywiduów; jest bowiem—jednością moralną. Liberalnemu i socjalistycznemu poglądowi na społeczeństwo przeciwstawić trzeba chrześcijański pogląd — naturalną jedność społeczeństwa, które na zewnątrz najsilniej podkreśla moment pracy, zatrudnienia, zawodu. Dlatego przyszły ustrój oprzeć się musi o ten moment, zorganizować społeczeństwo według zawodów i poszczególnym zawodom nadać charakter jednolitych „stanów".

Drogą, po której rozwijać się będzie w Austrji reforma ustroju, będzie droga wskazana przez Piusa XI w enc. „Quadragesimo anno"... I jesteśmy dumni — oświadczył Dollfuss — bo jesteśmy pierwszymi, którzy się do realizacji zasad tej encykliki zabierają.

Nie omieszkał przy tej sposobności Dollfuss zwrócić uwagi na różnice zachodzące między chrześcijańsko-społecznym ustrojem, ku któremu Austrja zmierza, a ustrojem „Trzeciej Rzeszy" Hitlera. Różnica polega na światopoglądzie. Pogańskiemu rasizmowi i nacjonalizmowi Hitlera przeciwstawia Dollfuss chrześcijański patrjotyzm, gotowy do współpracy z innemi narodami.

Oto—ważniejsze myśli z przemówienia Dollfussa!

Wydać się mogą ogólnemi i nie odrazu zrozumiałemi! Tylko jednak w Polsce. Zagranicą, zwłaszcza w Austrji i w Niemczech, słowa Dollfussa są zupełnie zrozumiałe. Prace naukowe uczonych i myślicieli (jak Spann, Ks. Schilling, Ks. Seipel, Dobrettsberger) dały prawie szczegółowy, zarys ustroju stanowo-zawodowego, a liczne tygodniki i miesięczniki katolickie spopularyzowały go w szerokich warstwach wykształconych. Dla słuchaczy niemieckich słowa Dollfussa były nie lekcją o rzeczy nieznanej, ale zatwierdzeniem i uznaniem myśli i programów dobrze znanych.

Gdy władza państwowa w rządach krajem opierać się będzie w pierwszym rzędzie na zasadzie sprawiedliwości chrześcijańskiej, stosowanej wobec wszystkich obywateli, a obywatele przestaną się uważać jedynie za objekt rządzenia, przeciwnie — zorganizują się i wytworzą potężny ruch, będący narzędziem do realizacji zasady: instaurare omnia in Christo — wówczas Rzeczpospolita wyjdzie z okresu konfliktów i choròb, które miotają naszym młodym organizmem państwowym.

S. J. K.

DZIAŁ ARTYSTYCZNO-OPISOWY.

Witraże Mehoffera w katedrze Fryburskiej.

Doniosły dla sztuki polskiej fakt miał miejsce tego lata,— może za mało u nas w kraju zauważony: profesor Józef Mehoffer z Krakowa (ur. 1869 r.) wykończył ostatni swój witraż do katedry św. Mikołaja we Fryburgu szwajcarskim. Zamknął nim cykl prawdziwie epicki olbrzymich kompozycyj malarskich, które są dziś chlubą tego „helweckiego Rzymu", ściągają ze-

wsząd turystów zagranicznych i wywołują zachwyt prawdziwych znawców sztuki.

Warto dziś przypomnieć czytelkowi polskiemu, jak się zaczęło nad malowniczemi brzegami Saryny to monumentalne wprost dzieło, które zajęło 25-cio letniemu wówczas artyście 38 najlepszych lat życia, i zyskało mu europejską sławę, a narodowi naszemu triumf o rozgłosie światowym.

Było to w roku 1894. Senat rzeczpospolitej fryburskiej, za inicjatywą Bractwa Najśw. Sakramentu, ogłosił konkurs międzynarodowy na witraże do katedry gotyckiej św. Mikołaja z XIII wieku; tematem było 7-mio metrowe okno do głównej nawy, przedstawiające świętych Apostołów Piotra, Jana, Jakóba i Andrzeja.

Do jury należeli znawcy, artyści i uczeni, między innymi O. Bertluer, Dominikanin, jeden z założycieli katolickiego uniwersytetu fryburskiego, długoletni jego profesor i rektor. Ten opowiada[1]), że na rozprawach Komitetu konkursowego, przewodniczący prof. Ralm z Zürichu, zapytał: „Czy nagrodzić chcemy genjusz?" — Takie postawienie kwestji już zawierało tej rozwiązanie: jeden bowiem tylko projekt zasługiwał na epitet „genjalnego" — karton Mehoffera". — I nagrodę osiągnął nasz rodak.

Tak rozpoczęło się to wielkie dzieło, dziś nareszcie dokończone; mamy przed sobą 8 witraży siedmiometrowych w podwójnych oknach nawy, i 5 dwunastometrowych w prezbiterjum.

Zanim je pokrótce omówimy, dobrze będzie powiedzieć słów kilka o technice witrażowej.

Tradycja witrażów, kwitnąca w wiekach średnich, zwłaszcza w epoce gotyku, zatraciła się w XVII wieku, i do końca XIX-go sztuka ta właściwie nie istnieje. „To co nazywano witrażami", mówi Eligjusz Niewiadomski[2]) — a wykonywano w różnych bogobojnych „zakładach św. Łukasza" nie miało

[1]) „Les vitraux de Mehoffer á Fribourg", Lousanne 1918.
[2]) „Malarstwo polskie XIX-go i XX-go wieku", str. 294.

nic wspólnego ani z twórczością, ani ze stylem. Były to poprostu ordynarne i bez poczucia tonu malowane pędzlem na dużych arkuszach bezbarwnego szkła kopje z obrazów włoskich lub flamandzkich mistrzów. Nawet znakomity prerafallita angielski Burne-Jones w swych witrażach posługuje się przeważnie malowaniem na byle jak krojonych płytach szkła, tak że linje ołowiu idą niezależnie od rysunku".

W stylowym witrażu średniowiecznym składano obraz z niedużych kawałków szkła kolorowego, sporządzonego przez wypalanie z odpowiedniemi tlenkami i odpowiednio do linij kompozycji przykrojonego, łącząc je ze sobą za pomocą ołowiu. Pozostawało tylko zlekka uzupełnić szczegóły (np. rysy twarzy, palce u rąk itp.) za pomocą pędzla. Z czasem rola tych domalowań rozszerza się, kształty zaś wykrawane ze szkła i linja ołowiu tracą znaczenie kompozycyjne. Renesans, a bardziej jeszcze barok, dążący do rozświetlania wnętrz, niszczą celowo witraże średniowieczne i zastępują je oknami arabeskowemi ze szkła białego, z obramieniem kolorowych ornamentów. Początek wieku XIX przynosi zupełny upadek sztuki witrażowej. Dopiero z nawrotem do średniowiecza w epoce romantyzmu zaczęto reformę witrażu w duchu dawnych technik. Wreszcie w XX wieku zrozumiano cały wdzięk ołowianych spoin, które budują kształt i arabesk linijny kompozycji; zrozumiano, że nie są one wcale *„malum necessarium"*, lecz przedziwnem narzędziem w ręku artysty, który umie wyzyskać potęgę tego źródła; zrozumiano, że skala barw, otrzymanych w szkle kolorowem, stokrotnie przewyższa ubogą paletę farb do malowania na szkle. Że te szkła barwne mają przytem czystość i potęgę tonu, dającą się porównać jedynie chyba z blaskiem drogich kamieni. Zrozumiano, że malowanie jest tylko skromnym dodatkiem, który użyty niewłaściwie, nadmiernie, brudzi i obciąża ton szkła" [3]).

Nawet to, co uważano za braki techniczne dawnych

---

[3]) loco cit.

szkieł, okazało się właśnie źródłem przymiotów witrażu. Szkła bowiem średniowieczne nigdy nie są gładkie, równe i czyste; zawsze wewnątrz są pełne bąbelków i skaz, na powierzchni nierówne, pogięte, tu grubsze, tam cieńsze itp. Dzięki tym „brakom" światło, przechodząc przez te szkła, daje im życie: zdają się one iskrzyć, drgać, mienić się. Dlatego wyrabiają dziś na wzór średniowiecznych szkła barwne najrozmaitsze, t. zw. craquelés, en pailletés, cabochon, które pod nazwą „antycznych" albo „katedralnych" są powszechnie używane do witrażów.

Widzimy zatem, że sztuka ta jest technicznie jedną z najtrudniejszych. „Wymaga bowiem, więcej niż inne sztuki, sprzęgnięcia współczynników różnych, jak szkło, materjał początkowo niełatwy do przeniesienia w artystyczną formę, i ogień, który je bogatą poletą barwi, tonacje, blaski wtapia i roztapia; w orkiestrę witrażową wprzęga się i ołów, wiążący linją kształty i plany; wreszcie najmocniejszym współczynnikiem roziskrzającym blaski, to słońce, któremu świetlanemu rozgraniu podaje się witraż, jak wielobarwnych strun napięcie".[4])

Wiek XX dał Polsce dwóch pierwszorzędnych malarzy-dekoratorów w wielkim stylu, a tymi są dwaj uczniowie Matejki: Stanisław Wyspiański i Józef Mehoffer. Wszyscy znają witraże pierwszego z nich w krakowskim kościele Franciszkanów: św. Franciszka, św. Salomeę i potężnego Boga Ojca. Drugiego zaś znamy głównie witraże wawelskie: dwa w kaplicy świętokrzyskiej, trzy w transepcie katedry, oraz witraż M. B. Ostrobramskiej w kaplicy Szafrańców. Mniej znane są niewielkie okna do kościoła w Jutrosinie w Poznańskiem, okno w katedrze lwowskiej, okna do kaplicy Granerów pod Opawą, oraz okna do kaplic zamkowych w Baranowie i Gołenkowie.

Lecz kto chce poznać Mehoffera w całej jego potędze i chwale, — niech ogląda przepiękne jego witraże fryburskie, gdzie się wypowiedział cały jego genjusz.

---

[4]) Helena d'Abancourt: „Witraże w sztuce religijnej".

„Witrażowa ta epopeja barwna, pełna potoków świateł, płomienna i promienna, czasem chmurna i zwiewna, otchłań tysiącznych motywów zgranych w akordową witrażową całość,— to potężna orkiestra kształtów, kolorów, tonów i cieni ściśle ze sobą związanych, które symfonją swoją nastrajają serca, radują oczy, budzą odezwy i potężnie łopocą skrzydłami odblasków o ściany katedry, daleko sławę artysty i kraju, z którego pochodzi, rozpromieniając po świecie".[5])

Nie zapomnę nigdy wstrząsającego wrażenia doznanego przed laty, gdy w towarzystwie oprowadzającego nas O. Bertkier O. P. stanęłam po raz pierwszy przed dziełem Mehoffera. W pierwszej chwili jest się zaskoczonym, oszołomionym, ogłuszonym fanfarą kolorów, oślepionym blaskiem tęcz, pijanym „rozszalałą orgją barw". Powoli dopiero oko przyzwyczaja się do tego mniemanego chaosu, z którego zaczynają się wynurzać potężne postacie o przepysznym rysunku, spowite w fantastyczne pnącze i stylizowane olbrzymie kwiaty, otoczone setkami motywów, przetopionych na prześliczny ornament, gdzie postacie ludzkie, obłoki, drzewa, dymy kadzideł, gwiazdy, płomienie, tęcze splatają się w przepyszne, dziwnie rytmiczne i dźwięczne harmonje barwne.

Zaraz pierwszy witraż czterech Apostołów przykuwa uwagę widza. Inny malarz byłby prawdopodobnie przedstawił ich stojących każdego w swojem ostrołukowem oknie, w hieratycznym spokoju, każdego: tradycyjnemi ikonograficznemi atrybutami: a więc św. Piotra z kluczami, Jana z orłem i kielichem, z którego podnosi się syczący wąż. Jakóba z maczugą, którą został zabity, Andrzeja z krzyżem w kształcie litery X, na którym konał 3 dni. U Mehoffera nic podobnego: schwycił on Piotra w najdramatyczniejszej chwili jego życia: Apostoł zaparł się Mistrza swego w przedsionku arcykapłana; lecz oto kogut siedzący na pobliskiej kolumnie zapiał, i Piotr przypomniał sobie słowo Jezusowe: „Zanim kur zapieje, trzykroć mnie się za-

---

[5]) Tamże, str. 125.

przeszł" Odwrócił się nawpół i zakrywszy twarz rękoma, „gorzko zapłakał". Lecz ten upadek książęcia Apostołów nie przeszkodził mu zostać podwaliną Kościoła Chrystusowego, którego symbol, łódź o rozwianych żaglach, widny na drugim planie, gdzie wznosi się też błękitna sylwetka powietrzna kopuły watykańskiej.

W drugiem półoknie św. Jan Ewangelista na wyspie Patmos, wśród bajecznego lasu podzwrotnikowego. Porwany jest w duchu i ogląda w górze widzenie Syna człowieczego, opisane w księdze Objawienia rozdział I-szy: „obleczonego w długą szatę i przepasanego u piersi pasem złotym.., włosy jego białe jako śnieg, a oczy jego jako płomień ognia... a w prawej ręce siedem gwiazd, a z ust jego miecz z obu stron ostry... a oblicze jego jako słońce świecące w swej mocy".

Obok Jana brat jego Jakób starszy zwycięża szatana, nasłanego mu przez czarnoksiężnika Hermogenesa; z jego rozkazu Anioł o wspaniałych różnobarwnych skrzydłach—Mehoffer zerwał bowiem z tradycyjnemi białemi skrzydłami gęsiemi, i zamienił je w bogate, czarodziejskie, coraz to inaczej pomyślane kształty stylowe—strąca w otchłań piekielną czarta, o wyglądzie wstrętnego opasłego murzyna.

Ostatni obraz tego okna przedstawia św. Andrzeja w chwili, gdy wyprowadzony z więzienia przez oprawców, widzi narzędzie swego męczeństwa, świetlany krzyż, i wyciąga ku niemu ramiona ze znanym okrzykiem miłości: O bona Crux!

Tento witraż zapoczątkował sławę wszechświatową naszego ziomka w 1894, na konkursie fryburskim.

W 4 lata potem wykończył Mehoffer drugi z kolei witraż *M. B. Zwycięskiej*; artysta uwiecznił tu chwilę historyczną: powrót zwycięskich Fryburczyków z pola bitwy pod Morat, gdzie w 1476 roku górale szwajcarscy roznieśli sławną jazdę burgundzką Karola Śmiałego. Na prawo wspaniała grupa wojowników: starzec białobrody z okrzykiem triumfu podnosi chorągiew i miecz ku Najświętszej Pannie, jaśniejącej

w obłokach; dwaj młodsi żołnierze pochylają kornie przed Nią zdobyte sztandary, na których widnieją herby Habsburgów i książąt burgundzkich; jeden z nich przyciska entuzjastycznym ruchem chorągiew szwajcarską do serca. Nad tą grupą bohaterow z pod Morat, Archanioł Michał z mieczem płomienistym i złowroga kometa, zwiastun wojny, o błyskach ponurych, w zielonawym tonie. W drugiej części witrażu widzimy w świetlanej mandorli Najśw. Pannę w błękitnym płaszczu usianym złotemi kwiatami, z Bożem Dzieciątkiem na ręku. Hieratyczny układ Madonny przypomina słynne na całą Polskę cudowne obrazy Najśw. Dziewicy; patrząc na nią, myśli się mimowolnie o Jasnogórskiej Pani, choć nie jest to M. B. Częstochowska. Otaczają ją wieńcem śliczne Anioły mehoferowskie, strojne, barwne jak tęcza. Jeden z nich podaje zwycięscom gałązkę wawrzynu, na znak, że to Marja dała powodzenie ich orężowi. Poniżej, na wstędze widnieje napis: *„Beatae Mariae Virgini Respublica Friburgensis"*. U dołu klęczy tyłem do widza obrócona postać młodej kobiety o przepysznych blond włosach: to Rzeczypospolita Fryburska, składająca korne dzięki swej niebieskiej Opiekunce; odziana we wspaniały fjoletowy płaszcz w złote palmy, trzyma w prawicy rycerski hełm z pękiem pawich piór: pewno hełm ks. Karola burgundzkiego porzucony na pobojowisku! Lewą zaś ręką podaje wieniec laurowy dwom wójtom, czy rajcom miejskim, opartym o tarczę herbową Rzeczpospolitej. W górnej części okna widnieją allegoryczne postacie Wiary, Nadziei, Miłości i Męstwa, wśród olbrzymich kwiatów: irysów, orchidei i possyflory, z płomiennem słowem Gloria, gotyckiemi mojuskułami, co podkreśla triumfalną nutę całej kompozycji.

W roku 1899 przybył trzeci witraż, który otrzymał medal złoty na paryskiej wystawie 1900 r., przedstawia on czterech Świętych Męczenników, specjalnie czczonych w kantonie, św. Maurycego, św. Sebastjana, św. Katarzynę i św. Barbarę. Pierwszy odtrąca z oburzeniem namowy do odstępstwa; drugi zdjął już hełm leżący przy nim na ziemi, i wspaniałym ruchem

zrywa z siebie błękitną paenulę oznakę rangi oficerskiej za cesarstwa, wyrażając tem gotowość na męczeństwo. Św. Katarzyna Aleksandryjska rozpuściła swe złociste włosy i tuli do piersi wielką palmę męczeńską, spoglądając na straszliwe koło zębate, którem za chwilę ma być rozszarpana. Św. Barbara z djademem perłowym na czole, zasłania się instynktownie rękoma przed brutalną pięścią rozwścieczonego ojca, który się groźnie na nią zamierza, promienna wizja kielicha z Hostją dodaje jej sił do wytrwania. W głębi obrazu jedna ze starych baszt krakowskich, zastępuje tradycyjną wieżę, w której Święta była przez ojca swego więziona. Ponad męczennikami, na pierwszym planie, unoszą się czarne, złowróżbne kruki śmierci, podczas gdy tło tworzą białe postacie Aniołów.

Na dole widzimy nowość ikonograficzną: ci sami Święci, żywi w głównym obrazie, są tu przedstawieni po śmierci: św. Maurycy poległ od miecza, św. Sebastjan przeszyty strzałami; św. Katarzyna spadła na wznak ze swego okropnego koła, a św. Barbara leży ścięta ręką zwyrodniałego ojca.

Czwarty witraż *Najśw. Sakramentu* — zdaniem wielu najpiękniejszy — powstał w 1900 roku. Mehoffer jest nietylko wielkim artystą, ale też wielkim chrześcijaninem. Wyraził on w tym obrazie koncepcję głęboko teologiczną: związek między Wieczernikiem a Golgotą, Stołem Pańskim a Ołtarzem, Mszą św. a Komunją". (O. Berthier). Z jednej strony widać Chrystusa, podobnego do naszych cudownych krucyfiksów w Polsce, który odjął ramiona od Krzyża, podtrzymywany przez Aniołów, i pochyla się z miłością ku poważnej matronie, która zbiera do kosztownego kielicha krew tryskającą z przebitego boku Jezusowego: to *sancta Mater Ecclesia.* Cała tylna ściana pokryta srebrnemi i złotemi wotami w kształcie serc, rąk i nóg. — Po lewej stronie ołtarz z wielką skrzydlatą monstrancją, otoczoną powodzią gorejącego blasku świec. Z gorejącą modlitwą na ustach zbliża się do niej dzieweczka w bieli, z lekką zasłoną na rozpuszczonych włosach, z wianuszkiem białych róż na głowie: rzekłbyś strój

do 1-szej Komunji. To wiara albo Oblubienica Barankowa z Apokalipsy; na dole Baranek wśród cierni, przypominający ofiarę Izaaka, jedną z główn ych figur Mszy św.

Obie połowy łączy monumentalnie skomponowana grupa iście mehoferowskich Aniołów z kadzielnicami w ręku, z których wydobywają się dekoracyjne kłęby dymu, sięgające aż do stóp ołtarza.

Dwa witraże ze Świętymi: Jerzym, Michałem, Anną i Magdaleną (1909), oraz Szczepanem, Wawrzyńcem, Marcinem i Klaudjuszem (1915), nie ustępują w niczem poprzednim. Lecz pilno nam do cudnego *„Hołdu Trzech Króli"* (1906), arcydzieła malarstwa dekoracyjnego w wielkim stylu. Kompozycja rozpada się,—jak zwykle u Mehoffera,—na górną i dolną. W górnej olbrzymie, za pomocą motywow swojskich, zakreślonę koło, w które nader umiejętnie opisana jest scena ewangeliczna „Adoracji Magów". Najśw. Panna, skromna i ubogo odziana, z wyrazem rzewnego smutku na twarzy, jakby w przeczuciu morza boleści, jakie ją w przyszłości czeka, — podaje Bożą Dziecinę Mędrcom ze Wschodu, których bogate, strojne klejnotami szaty, kontrastują z ubóstwem betlehemskiej stajenki. Wspaniały Anioł, który przywiódł monarchów „z Tarsu i wysp dalekich, roztacza nad nimi swe skrzydła tęczowe, podczas gdy olbrzymia gwiazda — w stylu naszych „wycinanek" skomponowana, płonie, mieni się i żarzy bogatą skalą barw, zapełniając swym blaskiem całą górną część okna. Naprzeciw niej duchy niebieskie śpiewają wypisane na wstędze słowa: *„Gloria in exelsis Deo"*.

W dolnej scenie widzimy motyw z „szopki" polskiej. Herod siedzi na tronie ze szpetnym uśmiechem na twarzy, a przed nim na ziemi leżą ciała pomordowanych Niewiniątek. Lecz oto zbliża się Śmierć, wstrętny kościotrup, który zęby swej bezmięsnej szczęki wpija w jego ramię — symbol wyrzutów sumienia. Na prawo długobrody szatan przypatruje się temu z ironicznym uśmiechem; prawą ręką podparł brodę, a lewą

obejmuje olbrzymiego, mieniącego się metalicznymi odbłyskami węża grzechu.

Witraże 12-to metrowe presbiterjum są dziełem powojennym. Trzy środkowe poświęcone są Trójcy Przenajświętszej. W pierwszym (1922) niezmiernie oryginalnie i dekoracyjnie pojęta postać Boga Ojca: głowa objęta symbolicznym trójkątem i trzy umieszczone nad sobą jednakowe złote djademy wyrażają trójjedność. Pod nim krzak gorejący z napisem *„Jam jest który jest"*, a opodal na zielonej łące pasą się baranki Mojżesza. Wszystko to nurza się w potokach światła: gwiazdy, księżyce, słońce otoczyły promiennym korowodem potężnego Stwórcę swego, powolne na każde Jego skinienie: „Dały światłość na strażach swoich i radowały się; zawołał ich, i rzekły: „Owośmy", i świeciły z radością Temu, który je stworzył". (Baruch, rozdz. III). W dolnej kondygnacji okna tablica dziesięciorga przykazań i Arka przymierza.

Witraż na prawo (1918) przedstawia Chrystusa zmartwychwstałego w purpurowej mandorli, z chorągwią triumfalną w ręku, otoczonego prorokami Starego Zakonu; pod Nim pusty grób, nad którym dwa promieniste Anioły trzymają kielich z Hostją; nad Nim tron przygotowany w niebiesiech zwycięskiemu Człowieczeństwu Jego, w pośród siedmiu świeczników Apokalipsy. Na samym dole atrybuta czterech Ewangelistów i otwarta księga z ich imionami.

Trzeci witraż poświęcony Duchowi Świętemu (1924). U góry ogromna, świetnie stylizowana symboliczna gołębica, otoczona płomiennemi językami i personifikacjami darów Ducha Świętego. Poniżej scena Zwiastowania: Niepokalana Dziewica w błękitnym płaszczu i szkarłatnej aureoli klęczy zdumiona przed świetlaną zjawą Anioła, który ze czcią ale i stanowczością ogłasza jej odpowiedź na trwożne „Jakoż się to stanie?" zapisaną u św. Łukasza (I. 35). „Duch Święty zstąpi na cię, a moc Najwyższego zaćmi tobie". U stóp Marji leży skręcony i pokonany wąż, jakby z lapis lazuli, a u dołu gołąbki mistyczne piją wodę żywota z krynicy Ducha Świętego,

którego pieśń *„Veni Creator"* wzywa jako „Zdrój żywy, ogień, miłość i ducha namaszczenie" [6]).

Pozostałe dwa okna presbiterjum uwieczniają ważne momenty z historji Fryburga: na prawo założenie katolickiego Uniwersytetu w tem mieście w 1890 r.; senat i profesorowie w togach, sztandary korporacyj studenckich, w głębi widny herb Leona XIII, zasiadającego wówczas na Stolicy Piotrowej. Na lewo zasłużeni obrońcy katolicyzmu we Fryburgu, w XVI wieku: Nuncjusz Bonomio, opat Schneuwby zwany „Pater Patriae", Werro i św. Piotr Kanizjusz, dziś Doktór Kościoła, który we Fryburgu spędził 17 lat swego apostolskiego życia, tu umarł i tu jest pochowany. W górnej kondygnacji postać dostojnika, jednego z *Religioni patrum fideles,* składa przysięgę na wierność religji ojców; obok stoją Wiara, nad którą jaśnieje pełne słońce Prawdy, i Odstępstwo ze słońcem przyćmionem. Witraż ten powstał w 1925 roku.

Ostatni witraż, jak wspomnieliśmy na początku, wykończony tego lata, jest przedstawieniem historji politycznej Fryburgu.

U góry, na wspaniałym karym koniu, Berchtold, — *„Dei gratia dux et rector Burgundiae"*, założyciel Fryburga. Pod nim Sława z trąbą ogłasza chwałę wojenną Szwajcarów papieskich, którzy się rekrutują przeważnie z tego arcykatolickiego kantonu: *„Defensores libertatis Ecclesiae"*.

W drugiej połowie okna papieże Juljusz II i Leon X, dalej w dół nabożeństwo uroczyste: w stollach siedzą kanonicy, a kantor przed pulpitem intonuje *„Te Deum":* Anioł nachyla się do jego ucha i na skrzypcach podaje mu ton; z boku pada na nich jasny snop światła.—Pod tem Patria pod drzewem Wolności, w otoczeniu rządu i wojska; na samym zaś dole Historja przędzie nić dziejów i opowiada ponure wizje Wielkiej Wojny światowej między datami 1914—1918.

---

[6]) „Fous vivus, ignis, caritas et spiritalis unctio".

Możnaby sądzić, że jako Polacy zbyt skromnie oceniamy wartość artystyczną fryburskiego dzieła Józefa Mehoffera. Posłuchajmy co o nim pisze znawca tak wytrawny jak René Dazin, jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich doby obecnej, członek Akademji, który, opisawszy z wyrazami wielkiego uznania sławne witraże Burne-Jonesa w katedrze oksfordskiej i w ljońskiej bazylice N. D. de Fourviere, tak kończy swe studjum p. t. „*Quelques vitrause modernes*" [7]:

„Lecz najpiękniejsze witraże są gdzieindziej; są one w Szwajcarji, w kościele św. Mikołaja we Fryburgu. Tu nie mam już przed sobą malowidła: zaledwie kilka szarych tonów dla zaznaczenia drobnych szczegółów. Wszystko inne jest przeźroczystą mozaiką, zespołem drogich kamieni ujętych w ołów. Koloryt jest niezrównany, a kompozycja swoista. Kocham tę *M. B. Zwycięską*, której podziękę składa klęcząca Rzeczpospolita fryburska i stojący obok żołnierze; kocham *Pokłon Trzech Króli,* gdzie gwiazda swemi promieniami zajmuje czwartą część witrażu, a resztę blaskiem swym opromienia; kocham tego Chrystusa nachylającego się z Krzyża, na tle ciemno-zielonawem, a nadewszystko *Wiarę adorującą Hóstję*, Wiarę młodzieńczą, uwieńczoną różami, odzianą w szatę o wszystkich odcieniach błękitnawej bieli, dokoła której z kadzielnic kołysanych ręką Aniołów wznoszą się wonne dymy— szare, fjoletowawe, różowe, pomarańczowe, coraz bardziej płomienne, im bardziej wchodzą w obręb glorji bijącej od monstrancji.

Gdy się wejdzie do mrocznego kościoła i stanie przed temi witrażami, czuje się wyraźnie, że to nietyle piękność kompozycji wywołuje wzruszenie, jak żywa glorja, miłość niebiańska i promienna nadzieja, która z tych malowideł świetlnych zstępuje na widza. Słyszę psalm barw, zanim zrozumiem układ i znaczenie postaci; znajduję się w atmosferze przygotowanej, urozmaiconej, nad wyraz sugestywnej.

---

[7]) „Journal des Débats", z 29 grudnia 1908 r.

Nie znam artysty, który nazywa się Mehoffer. Mówiono mi, że jest Polakiem i dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych w Polsce. Lecz wiem, że musiałem ponownie oglądać jego dzieło, i że za drugim i trzecim razem przejęło mnie tą samą radością, tem samem wzruszeniem, tym samym entuzjazmem, tą samą potrzebą zawołania: Brawo! co za pierwszą wizytą.

Zawiera ono nową formułę; nie ma wszystkich tonów witraży średniowiecznyah, ale dorównuje im blaskiem, a przewyższa kompozycją; jest na swój sposób suwerenne i przypomina mi słowa Piusa X, wypowiedziane o muzyce kościelnej: „Pragnę, aby mój lud modlił się na Pięknie"!

S. M. R.

Sprawozdania i Recenzje.

Chrystus mesjaszem. Cudotwórca i prorok.—Konferencje wygłoszone w kościele Notre-Dame w Paryżu w roku 1931. Przez H. Pinard de la Boullaye T. J. Tłom. z francuskiego A. P.—Kraków 1933. Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów.

Jeden i ten sam duch niewiary i wątpienia różne w różnych wiekach podnosił w ludzkich duszach trudności przeciw wierze. Dziś, naogół biorąc, nie istnienie Boga i moc Jego obalić usiłuje, lecz raczej zwraca się przeciwko możliwości miłosnego zjednoczenia Bóstwa z człowieczeństwem we Wcieleniu. Stąd apologja katolicka szczególniejsze na ten odcinek linji obronnej wysyłać musi posiłku. W społeczeństwie, gdzie walka większe niż gdzieindziej osiąga napięcie, we Francji, na słynną ambonę w kościele Notre-Dame, gdzie do głośnych od czasu Lacordaire'a konferencji wielkopostnych, episkopat francuski dobiera najlepsze siły apologietyczne, wstępuje znakomity pracownik naukowy, były profesor teologji w Wyższym Instytucie jezuitów francuskich w Enghien (w Belgji), badacz etnologji, generalny sekretarz uczonego Międzynarodowego Tygodnia Etnologji Religijnej, profesor historji religji w Gregorianum rzymskiem, ojciec Henryk de la Boullaye. Zwierzchność duchowna, uznała go za najgodniejszego z licznego grona kaznodziejów tej ambony. na którą wstępowali tylko mistrze słowa apostolskiego, a przed którą stawali sami tylko inteligentni i wykwintni słuchacze: studenci uniwersytetów, sędziowie, urzędnicy wyżsi, oficerowie, inżynierowie,

ludzie wykształceni pragnący głębiej poznać prawdę z nieba objawioną i usłyszeć stanowczą odpowiedź na zarzuty lub niepewności.

Znane są już społeczeństwu polskiemu konferencje znakomitego mówcy i uczonego z roku 1929, w których gruntowną odprawę dostają racjonalistyczni historycy, pod tytułem: „Chrystus wobec historji". W roku bieżącym krakowscy Ojcowie Jezuici wydali przekład konferencji z przed dwóch lat o boskiem posłannictwie Pana Naszego z tytułu Jego cudów i przepowiedni.

Na mocy tak jasnego wykładu każdy umysł zdolny do prawidłowego działania, gdy zrzuci ze siebie uprzedzenia i wyzbędzie się zaślepienia i uporu, uzna, że cud jest możliwy, że jest potrzebny do utrzymania wiary, że są sposoby do odróżnienia go od zjawisk naturalnych; jak pewne są fakty cudowne, sprawione przez Chrystusa Pana i wyraźny ich boski charakter; że nieomylne proroctwa Jezusowe o zburzeniu Jerozolimy, co wkrótce powszechnie stwierdzone zostało, o nowem Jeruzalem — kościele, i wiele innych, mocniej jeszcze niż cudy, świadczą o boskości Ukrzyżowanego; jak potwierdziła się i potwierdza zapowiedziana przez Zbawiciela walka miłości z nienawiścią. Taką drogą prowadzi znakomity konferencjonista uważnego słuchacza, aż go przywiedzie do tego, że postać Chrystusa rozjaśnieje blaskiem mocy i chwały zwysoka.

Treść dzieła znana jest każdemu, kto przebył kurs nauk teologicznych, ale dla przeciętego inteligienta, jest niestety, terra incognita, za nielicznymi wyjątkami. A przecież wykład tak jest ujęty, że nawet teologa zaciekawi i pouczy.

Społeczeństwo polskie lepiej stoi wprawdzie pod względem religijnym, niż francuskie, nie mamy bowiem tylu i tak zaciekłych, jak tam, wrogów religji, jednakże nie możemy się pochwalić dobrą znajomością wiary. Dzieło przeto niniejsze gorąco zaleca się osobom wykształconym, jako źródło, skąd zaczerpną i umocnienie dla siebie samych i znakomitą broń do odpierania napaści. *Ks. KW.*

Etudes préliminaires à l'édition de Diodore de Tarse suites psaumes. Par Louis Mariès. Collection d'Etudes Anciennes, publié sous le patronage de l'Association Guillaume Budé... Paris. Société a édition Les Belles Lettres, 95 bonlerard Rospail, 1933, 8, 184 pg. Prix 30 frs.

Najświeższa, tegoroczna praca patrystyczna, dokonana przez Ludwika Mariès, profesora paryskiego Instytutu Katolickiego, konferencjonisty w Szkole Studjów Wyższych.

Prace piśmiennicze świętego Dyodora Antyocheńskiego, zakonnika, prześladowanego przez arjańskiego cesarza Walensa, a potem obranego

na biskupa Tarsu, w Azji Mniejszej, uczestnika I soboru Konstantynopolitańskiego, w roku 381, cenione wielce w starożytności chrześcijańskiej, znane były jedynie z przekładów syryjskich. Niniejsza praca jest ostatecznem stwierdzeniem doniosłego odkrycia w dziejach chrześcijańskiej literatury greckiej, że komentarz Dyodora z Tarsu na psalmy posiadamy w całości i jest z czego ustalić jego tekst, mamy bowiem tak obfity potemu materjał, że niejeden z ojców Kościoła lub wogóle pisarzów klasycznych mógłby go Dyodorowi pozazdrościć.

Komentarze na psalmy, które dotąd miano za zaginione, okazują się teraz jedyną pracą po tym biskupie, jaka doszła nas w całości.

Wzbudzą one zainteresowanie zarówno w dziejopisarzach literatury greckiej, jak w filologach i egzegietach. Historycy bowiem ujrzą w tem dziele osobistość założyciela Szkoły Antyocheńskiej w rysach wyraźniejszych i prawdziwszych, niż go dotąd znano. Filolodzy znajdą wykład i rozwiązanie jednego z najzawilszych wypadków przekazywania tekstu. Egzegieci mają tu ze szczegółami na rozległym tekście przedstawiony sposób ujmowania rzeczy przez Dyodora. Wprawdzie autor niniejszego studjum narazie pozostawił naboku stronę teologiczną, natchnienie, proroczność, nawet egzegiezę, o ile ono wchodzi w dziedzinę historji, lub teologji, i poprzestał na samem tylko zdaniu sprawy z komentarzy; niemniej jednak musiał on przytem dotknąć wielu wielu punktów, mających wielką doniosłość w egzegiezie. Naprzykład, nie wdając się w roztrząsanie punktów widzenia i teorji Dyodorowych, z punktu czysto opisowego, podał w całości kwestję *tematów i tytułów* psalmów; zagadnienie *theoria i psalmów mesjanicznych* naszkicował pokrótce, lecz jasno.

Dzięki szczegółowemu skorowidzowi zamieszczonemu na ostatnich kartach książki, z łatwością odszukać można obszerne cytaty z każdego ze 150 psalmów, wyciągnięte z tekstu w toku dowodzenia.

Jak autor ujął swe studjum, wskazuje spis rzeczy, którego rozkład jest następujący: I. Przekład rękopisów. Dwa nowe rękopisy. Rozstrzygnięcie zagadnień przez porównanie ze sobą pięciu rękopisów. Z kwestji przekazywania rękopisów. II. Dyodorowy charakter komentarzy. Tematy psalmów. Same wyjaśnienia: rysy antyocheńskie, rysy Dyodorowe (theoria i historia). Wnioski. Dodatki. *Ks. KW.*

Ks. Józef Lucas P.S.M. „Jak pracować nad sobą". Tłumaczył Ks. A. Majewski P. S. M. Str. 51 cena 40 groszy. Broszurka mała i tania, a wartość jej poprostu nieoceniona. W niewielu słowach, nader jasno i praktycznie poucza czytelnika, co i jak czynić powinien, żeby dusza jego z każdym dniem stawała się wolniejszą od chwastów grzechu i złych skłonności i jaśniała coraz to pełniejszym blaskiem łaski uświęcającej ku chwale Bożej i szczęściu swemu.

Broszurka oddaje wielką przysługę zwłaszcza tym duszom, które, widząc w obecnych czasach tyle objawów ukrytej i jawnej nawet walki z Bogiem i Kościołem, tembardziej, sercem i duszą całą, chcą przylgnąć do Boga i tem wierniej służyć jego wielkiej sprawie.

Do nabycia u Ks.Ks. Pallotynów. Warszawa, Krak.-Przedm. 71.

Kim jesteśmy i czego chcemy. Rzecz o sodalicjach Marjańskich. Napisali ks. Moskała i ks. E. Kosibowicz. Wydanie XX. Jezuitów, Kraków 1933 r., str. 67.

W cyklu „Sprawy Sodalicyjne" ukazała się ta broszura, aby uświadomić przeszłość, zasługi i zamierzania Sodalicyj Marjańskich. Kto wnika w potrzeby katolicyzmu w Polsce, przyzna, że Sodalicja daje mu to, czego potrzeba, mianowicie religijnie wykształconych, pełnych katolików, którzy działać mogą skutecznie w szeregach akcji katolickiej. Sam fakt kilkuwiekowego istnienia sodalicji marjańskiej, jej zamaszysty rozwój we wszystkich krajach, domagają się zapoznania się z ideą sodalicyjną, chociażby tylko w roli obserwatora. Do tego pomoże znakomicie niniejsza rozprawa.

Polecona dla wykształconych.

O polskiej sztuce religijnej. Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Langmana. Katowice 1932 r., str. 382 małe in folio.

Dzieło zawiera 217 stron tekstu i 156 stron ilustracyj. Tekstu dostarczyli myśliciele, historycy sztuki, teoretycy (krytycy), praktycy i organizatorzy. Powstanie swe zawdzięcza publikacja wystawie sztuki kościelnej, odbytej w sezonie letnim 1931 r., której ma być trwałym pomnikiem.

Pomysł świetny, wykonanie znakomite. Widać, że katolicyzm polski zdołał już objąć wszystkie swoje odcinki, skoro w rydwan swój wciągnął także sztukę mimo ciężkich warunków gospodarczych. Dzieło stanowić będzie kamień milowy w polskim dorobku kulturalnym i odtąd żaden inteligent czy świecki czy duchowny, żaden artysta i miłośnik sztuki, żaden student, żaden społecznik i oświatowiec nie może przejść obojętnie obok takiego kulturalnego wyczynu, który może dumą napawać uświadomionego Polaka.

Polecona dla czytelników światlejszych.

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.